

46-22

BEZPŁATNY DODATEK DLA PRENUMERATORÓW WĘDROWCA.

WYBÓR PISM.

SEWER WYBÓR PISM
NAKŁAD WĘDROWCA 1902
WARSZAWA.

SEWER.

WYBÓR PISM

GŁODOWA POŻYCZKA. (Nowella).

POZYTYWIZM W PRAKTYCE. (Powieść).

NICE. (Obrazek).

WARSZAWA.

Nakład „WĘDROWCA”.

1902.

Warszawska Drukarnia Estetyczna.—Telefon 1618.





Дозволено Цензурою
Г. Варшава, 18 Января 1902 г.



884-3M. 27y

9.
26/6. 467c

GŁODOWA POŻYCZKA.





I.

Już dobrze zaciągnęło się na jesień, liście na drzewach poczerwieniały i żółkły, dużo z nich wiatr rozgonił po drogach i polach. Biała pajęczyna, okryła błonia i niby haft, dziergany złotem, świeciła się od promieni słońca.

Bociany odleciały, za nimi krzyki z błot. Widziano gęsi. Długim łańcuchem mknęły tak nisko, że słychać było szelest skrzydeł, bijących o fale powietrza, co ma zapowiadać zimę wczesną, a długą.

Patrzała na ten łańcuch Jagielina i szelest skrzydeł słyszała, i głowę smutnie wstrząsnęła, westchnęła i znowu co żywo do chaty biegła.

— Chłopu łońskiego roku się zmarło — skarżyła się sama przed sobą — i zostawił mnie sierotą z pięciorgiem dzieci, przy jednej mordze gruntu. Cichy był, ochotny do pracy, — ni to pijak, ni to jaki zbereźnik. Latem pracował kosą i sierpem, zimą plótnianki i gorsety sył. Gros

grosa gonił i nie dziw, pięcioro drobiazgu nakarmić; ale jakoś głodu nie było. Na morgu siałam len, sadziłam ziemniaki — trochę buraków dla krowy, jęczmienia na kasę i zagon kapusty... Zyta na chlebuś trza było kupić! Ale co tam, kiedy były ziemniaki. Chlebuś był od święta i dobrze było. Na kominie chrust się palił, dzieci się grzały, — chłop śpiewał i igłą wywijał, ciągnąc długą nić. Ziemniaki piekły się w popiele, krowa przy ścianie to sapnęła, to se legła, abo wstała — i dobrze było. A już najlepiej gdy tatuś podjadłszy se ziuru, zaczął dzieciom bajki opowiadać.

Śluchałam i ja — szepnęła. Chłopa choć do rany przyłoż. I poseł za drugimi na sąd boski, choć młody był i zdrów.

Turkot bryczki zagłuszył wspomnienia wdowy i matki pięciorga dzieci, wracającej od roboty z bryłką kupionej soli.

Bryczka stanęła przed chatą. Kobieta drgnęła ze strachu, coś ją w piersiach zagniotło, iść nie mogła, oparła się o wierzbę stojącą przy drodze.

— Panienko Przenajświętsza, ratujże mnie. Brycka przed chatą sierot — to nic, ino niesęście. A cózby innego?... Pan przecie nie zajdzie.

Zebrała siły i wolno, nieśmiało szła, jakby umyślnie chciała odwlec spotkanie ze swą dolą.

Na środku izby stał pan Zureczyński, sekwestrator prywatny, wysoki, młody, o wystających kościach policzkowych i grubych, wywiniętych ustach, gęstych brwiach i białkach ocz, poprzecinanych różowemi żyłkami, co go czyniło nieco podobnym do psa puszczonego z łańcucha. Powtarzam nieco, aby zbytecznie nie narażać się damom z miasta Gąsiorowa, które są zdania, że pan sekwestrator prywatny jest „przy stojnym mężczyzną“, albowiem ma czarne, gęste włosy, rozdzielone na przedzie, i pierścionki na palcach.

Tuż przy panu sekwestratorze prywatnym stał Wątorok, wielki jego faworyt, a radny gminy Zalesia. Z nim tylko pan sekwestrator jeździł i choć okropnie na niego krzyczał, wiedzieli ludzie, że go lubiał.

Jagielina weszła nieśmiało do izby.

— Placisz pożyczkę głodową — wrzasnął przybyły swoim zwyczajem, aby odrazu przerazić kobietę.

— Zapłacona — zawołała, zalewając się łzami. — Bóg świadkiem, że mój ją odniósł.

— A gdzież to ten twój? — spytał pan sekwestrator.

— Pomarł — odpowiedział cicho z tajemniczym uśmiechem Wątopek.

— Przysięgnę, że zapłacił, sprzedałam na wiosnę prosiaka, pieniądze zabrał i odniósł. — Zwróciwszy się do Wątopek, dodała: Wy o tem najlepiej wiecie.

— Ty się kobieto mną nie świadcz—odpowiedział radny—bo gdybyście zapłacili, to byście mieli kwit—i już.

— A przecie powiedzieliście nieboscykowi, że papieru na kwit nie macie; zeście do księgi zapisali; że on i wy jesteście żywi. O mój Boże, mój Boże, cóż ja teraz sierota z dziećmi pocę.

— Ha, ha — zaśmiał się par sekwestrator prywatny — każdy z nich płaci, ale w karczmie za wódkę.

Ja cię nauczę klamać i wpierać w urzędniczkę gminy. Bierz — zawołał na Wątopek, pokazując ręką poduszkę.

Wątopek, czając się jak kot, podszedł na palcach do łóżka, ujął za róg poduszkę i szarpnął nią mocno.

W łóżku spało dwoje dzieci, głowy ich podskoczyły w górę i spadły na twardą słomę.

Widok ten zabawił pana sekwestratora prywatnego, i dlatego się rozśmiał. Za nim z samej

kurtuazyi śmiał się i Wątopek, biorąc pod pachę poduszkę.

Przebudzone dzieci zaczęły płakać.

— A bójcie się Boga ludzie, co wy robicie—wołała zrozpaczona kobieta. Na rany Chrystusa jedną jedyną poduszcynę miałam i tej nie darujecie—a jakże wy się nie boicie pomsty...

— Cicho, wrzasnął sekwestrator — bo ja z ciebie protokół spiszę—rozumiesz? Oni chcą, żebym tygodniami siedział, czekał i czas dla nich marnował. Ruszaj—krzyknął na Wątopek.

— A pamiętajcie, żebyście się pospieszyli i zapłacili, bo źle będzie — odezwał się słodko Wątopek wychodząc.

— Przecie za poduszkę kazden żyd da siedem papierków — zawołała, łamiąc ręce Jagielina.

— Płać — krzyknął pan Zureczyński — to sekwestrator nie będzie przyjeżdżał, a nie chcesz płacić, to musisz go żywić.

— A toć zapłaciłam papierka — odpowiedziała.

Pan Zureczyński rozśmiał się, kopnął nogą drzwi i wyszedł; za nim Wątopek z poduszką pod pachą.

Poduszka poszła na dno bryczki do towarzystwa kilku innych. Koła zaturkotały na twar-

dej drodze, kobieta została z załamanemi rękami na środku izby.

Troje wystraszonych dzieci, dzwoniąc zębami, wysunęło się z za pieca. Dwie dziewczynki w spódnickach boso i chłopiec dwunastoletni.

— Matsiu, konwisarz nie wróca — pytały niespokojnie.

— Pewno wróca — odpowiedziała — zalewając się łzami.

Dzieci skoczyły do pieca.

— Nie dziś, nie dziś — tłumaczyła matka, a nie mogąc się z żalu na nogach utrzymać, zsunęła się na ławę. Dzieci przybiegły do niej. Młodsza Marysia, wdrapawszy się na ławkę, głaszała matkę po twarzy, obejmowała małemi rękami, tuląc jej głowę do siebie.

— Nie płaccie, bo jakby chcieli jescie wleść, to drzwi pozapieramy — chwalił się Antoś.

— Nazbieraliśmy patyków — opowiadała Jagusia.

— Patrzcie ino, — wołał Antoś, pokazując patyki złożone przy kominie — jakie ci grube.

— A suche — dodała Jagusia.

— Ulinkę i Jasia zimno okrutnie strzęsło, bez to tak śpią — szczebiotała stojąca na ławie Marysia.

Zerwała się kobieta, poskoczyła do śpiących dzieci, przykładając rękę do ich twarzy. Gorące były jak węgiel.

— Nie macie teraz moje biedajstwo na cem główki oprzeć!

— Matsiu pić się chce okrutnie. Dajcie ino ociupinkę wody, — prosił się przebudzony sześćioletni Jaś.

Kobiecie znów z oczu trysnęły łzy.

— Nie płaccie moja matuś, skrzepnę ja ci zobacyste, ino ociupinkę wody. Pocałował matkę w rękę.

Leżąca przy Jasiu Ulinka westchnęła, oczy otworzyła, przewróciła się z boku na bok, rękę podłożyła pod twarz i zasnęła.

Wody przyniosła w garnuszku Jagusia. Chłopiec pił z rozkoszą, chciwie i długo, — uśmiechnął się, obtarł usta rękawem, wsparł głowę o poręcz łóżka, patrzył przed siebie i milczał. Matka go pocałowała głaszcząc.

— Pewno dziś wieczry nie będzie — odezwała się cicho Jagusia. Ha, to chodźmy matsiu spać, moze jako i prześniemy głód — prawda? Patyki zostaną do zgotowania śniadania.

Marysia zaczęła cicho płakać. Antoś, przestępywał zwolna z nogi na nogę smutny i zamysłony. Jeść mu się okrutnie chciało, lecz

nie śmiał się skarżyć wobec łez i strapienia matki.

— Będziecie jadły, będziecie — pocieszała dzieci matka.

Nie miała czasu ani zapłakać, ani dzieci popieścić. Cały dzień przy robocie — wieczorem trzeba było warzyć wieszczkę, świtanie śniadanie i objad. I żeby sobie zato zapracował choć spokój; żeby głód cisnący się do chaty odegnać mogła?! Serce się jej ścisnęło, czarne myśli obiadły mózg, rady sobie dać nie mogła.

Dzieci patrzyły na nią smutne, choć się nie skarżyły. Komin czarny bez ognia wyglądał ponuro; wpadnie przez niego do izby wiatr, przejdzie po kościach i wyleci. Strapiona kobieta spojrzała na dzieci i uśmiechnęła się smutno jakoś, rzewnie, coś ją załaskotało w gardle, a w piersiach zaparło... Nareszcie się przemogła.

— Kupiłam za cztery centy grudkę soli, będziemy mieli do ziemniaków...

— Ziemniaki, ziemniaki — szczebiotała Marysia podskakując. Chwyliła się matczynej spódnicy i pobiegła za nią.

W sionce pod ścianą wykopany był dołek, przykryty słomą, założony deską tak, że nie bardzo i znać było. Jaga i Antoś odważyli deskę,

rozgarnęli słomę, wydobywając do przyniesionego koszyka ziemniaki.

— Mój Boże — skarżyła się kobieta — pan Jezus nie dał jakoś tego roku chleba, — dawniej to się zebralo z tego samego kawałka i ośm korcy, dziś nie ma jak dwa, — a tu jesce trzeba schować na sadzenie. Z wiosny wymrozilo, a potem wiatr wypalił.

Dzieci napełniły koszyczek, gromadka wróciła do izby. Antoś podawał patyki, Jagusia układała je na kominie, matka zapaliła garstkę słomy, ogień buchnął, dzieci się rozśmiały. I Jaś się, rozśmiał leżąc oparty głową na poręczy łóżka. Zimno ustępowało powoli i chłopiec widocznie trzeźwiał.

Skrobano kartofle z zapalem.

— Moje dzieci, okrasy nie mam — mówiła matka. A skądbym ją wzięła! Krowina posła na pogrzeb. Bo i jakże nie dać jegomości na chwałę Bożą, — a tu zaraz wyciąga rękę organista, i grabarzowi płac i dziadom, a ludziom podziękuj. Resztę wzięli za podatek i nawet na bucięta dla was nie stało.

— Co tam matuś — zawołał Antoś — jak urosnę, jak ci nie złapę za siekiere, jak ci nie zacnę rąbać sągów, abo pilą trackę dla zyda

ciąć, to ci taką galantą jałowicę na jarmarku kupię, ze zobacysz.

Dzieci się uśmiechnęły na wspomnienie galantej jałowicy.

— Co napotka — mówił dalej o krowie chłopiec, aby pocieszyć matkę — zaraz zeżre, a jak się obje, to będzie wołać na matusię buu, a buu, żeby ją matsia co żywo doili.

Serdeczny śmiech dzieci przerwał opowiadanie Antosia, Jaś im z łóżka wtórował, uśmiechnęła się i matka.

— A cem ja cię uchowam, moje dziecko, cem, żebyś ty urósł i miał siłę do siekiery!

— Cem, pochwycił chłopiec, a dyć Gębała bogac. Na wiosnę pójdę do niego służyć za zycie i przyodziewek, toć tam przecie skrzepnę na kluskach z omastą.

— Matusiu Antoś skrzepnie jak się patrzy.

— A i ja skrzepnę, zobaczycie, tylo odemnie zimno odleci—odezwał się Jaś.

— A mozeby go i Ulinkę głąbiem okadzić—szepnęła Jagusia, podsuwając radę matce.

— Ej kadzić głąbiem, to ino dobrze na koltun moje dziecko; zimno się głąbia nie boi. A może tam da Bóg, ze i samo odleci. Oskrobane i wypłukane kartofle wrzucono do garnka,

zalano je wodą i przystawiono do ognia. Jagusia z Antosiem tłukli sól obuchem siekiery.

Zrobiło się na dworze ciemno, a w izbie ciepło, woda zawrzała, kartofle pękały i same rozsypywać się zaczęły. Dzieci ciekawie zaglądały w garnek.

— Spróbujcie no matusiu, może już zmiękły — szebiotała Marysia.

Kobieta wyjęła łyżką pęknięty ziemniak, ostudziła go, osoliła i podała Marysi.

Uradowana dziewczynka pochwyciła go drżącymi z niecierpliwości rękami: był jeszcze za gorący, upadł jej z rąk na ławę; wtedy zaczęła na niego dmuchać, a potem obłupywała z wierzchu ostudzone kawalki i kładła je do ust.

— Może i jabym jednego dostał — odezwał się nieśmiało Jaś.

Matka podała mu, głaszcząc go po buzi.

— Skrzepileś się dziecko.

— A, ino — szepnął Jaś.

Również dostali po jednym Antoś i Jagusia. Tymczasem ziemniaki uwarzyły się, były mięciutkie i sytkie. Wodę z nich matka odlała, potem je osoliła, utłukła i wysypała na miskę. Obudzono Ulinkę i sześcioro w milczeniu zasiadło do jedzenia.



— Zeby tak choć z ośm korecy, tobym przezimowała z biedą — pomyślała Jagielina. Na sól i omastę uprzędlabym przecie. Ale cóż, pan Jezus nie dał i biedny człowiek nie poradzi.

Węgłe czerniały i gasły, wiatr przez komin wlatywał, dzieci jedno po drugim powsuwały się pod pierzynę, matka położyła się w środku — i za chwilę dały się słyszeć miarowe oddechy śpiących. Wiatr tylko przez komin wpadał do izby, zahuczał, zaświstał i legł pod łóżkiem lub ławą.

II.

Dzień po dniu mijaly chyżo, bo jakoś i jesień była łagodna, i zarobku nie brakło. Jagielina umiała miądlic len i konopie. Gdy się skończyła robota we dworze, miądliła po wsi gospodyniom. Chociaż tam roku tego nie było urodzaju i ludzie przepowiadali głód, to przecież nieraz, wracając z zarobku, przyniosła do izby i mleka w garnuszku i kawałeczek sperki na okrasę. Antoś uprosił sobie poganiaczkę przy pługach dworskich, a że był ucieszny, lubili go fornale i co dzień „szóstkę“ przynosił do domu.

Matka chowała pieniądze na buty, dla chłopca i przednowek, uśmiechała się jakoś samochcąc, nadzieja ośmielała ją. Jagusia znosiła patyki i pilnowała dzieci. Gromadka przyczajona, bojąc się zazdrosnych oczu nieszczęścia, nie śmiała głośno się radować. Jeden Antoś,

uważając się już za parobka, miał minę pewną siebie.

I mimo że się kryli jak mogli, nieszczęście ich znalazło.

Od paru już dni mówiono po wsi o licytacji.

Ludzie gadali na konwisarza i Wątorca, ale na to nie było rady.

— Bo i komuż się poskarżyć — mówili.

Było to jakoś zaraz po południu, gdy znowu zajechała bryczka przed chatę Jagieliny. Wyskoczył z niej pan sekwestator prywatny, za nim radny.

Weszli do izby. Przelęknione dzieci skryły się pod pierzynę.

— Tu już niema nic do zabrania — odezwał się sekwestator, spoglądając po izbie.

— A nie — odpowiedział radny; ziarna u niej nie uświadczy, len sprzedała, kozuch poszedł do ludzi jeszcze na wiosnę. Ma tam pono trochę ziemniaków, ale gdzieś dobrze schowała.

Wpadła do izby Jagusia.

— Gdzie schowane kartofle — wrzasnął na dziewczynę sekwestator.

— Nie wiem — ledwie że mogło wymówić zaleknione dziecko.

Pan sekwestator prywatny zamierzył się laską — dziewczyna przyklęła ze strachu.

— Gadasz?!

— Nie powie — szepnął Wątorc. A toć przecie, — wskazał na pierzynę — warta ze dwaście papierków.

— Bierz — krzyknął pan sekwestator prywatny.

Radny pochwycił za pierzynę. Dzieci z przerażenia wpily w nią zaciśnięte palce. Pan sekwestator prywatny uderzył laską po kurczowo ściśniętych rękach dzieci, tak że słychać było odgłos spadającego kija.

Nareszcie Wątorc wydarł pierzynę. Sekwestator się roześmiał, dzieci zaczęły płakać z bólu i strachu.

— Ha, jakie to te chamskie plemię zażarte. Jak wyrośnie, będzie rozbijać na publicznych drogach.

— Ma czego bronić! — wtrącił Wątorc — troszkę pierza i to starte na proch.

Zawinał zdobycz, aby jak najmniej zajęła miejsca w wyladowanej bryczce.

Jagusia uciszała wystraszone i zziębnięte dzieci, rozpałała ogień na kominie, chcąc je ogrzać i rozweselić.

Ostrzeżono Jagielinę, biegła do chaty, drząc na całym ciele. Ciemne plątki latały jej przed oczami, uważała je za zły znak; ziemia przed nią ustępowała, świat się kołował, kobieta pędziła, chwytając prędko w płuca powietrze, którego, zdawało się, brakowało dla niej.

Stała na progu, spojrzała dokoła — na łóżku garść tylko słomy, dzieci zziębnięte, sinawe, wystraszone grzały się przy kominie. Nie miała sił płakać, nie była w stanie skarżyć się, nie mogła przeklinać. Błada, z oczami wlepionymi w puste łóżko, siadła cicho na ławie, nie przemówiwszy słowa; dzieci ją obstępowały, głośko, pieściły, lecz nie mogły wydobyć z niej ani jednego wyrazu. Marysia patrząc na zgnębioną matkę, przestraszyła się i płakać zaczęła. Pomagała jej Ulinka — Jaś niespokojny pociągał matkę za zapaskę.

— A cóż wam to, że nie przemówicie i słowa?

Do chaty zajrzała Smoleńka. Dzieci ją przywitały, całując w rękę.

Widziała Smoleńka, jak Wątorzek wynosił za sekwestratorem pierzynę i zaczęła okropnie pomstować na tego draba i odgrażać się.

Wtedy dopiero z oczu Jagieliny wytrysnęły łzy, lecz się nie skarżyła, ani narzekała.

— Nie płacicie tak ciężko — odezwała się Smoleńka, bo i mnie coś zaczyna dławić. Dałabym wam, ale Bóg mi świadkiem, sama jestem biedna.

Wybiegła z izby i za chwilę przyniosła dość jeszcze dobrą, lataną plachtę. Przykryła nią łóżko.

— Tymczasem wystarczy i to — będę ja tam jeszcze sukac dla was po wsi jakich lachów, aby się ino zasłonić od zimna.

Wrócił Antoś od poganiaczki i przyniósł szóstkę; była to już piętnasta. Spojrzał na łzy matki, na łóżko i odrazu zrozumiał wszystko.

— Byli tu pewno konwisarz z Wątorkiem — szepnął do Jagusi.

Jagusia kiwnęła głową.

Chłopiec popatrzył na łóżko, podumał i wysunął się z chaty.

Za nim wybiegła siostra.

— Jantós, nie pomożesz mi to skrobać ziemniaków — wołała.

— Zaraz wrócę — odpowiedział chłopiec, galopując w stronę ogrodu dworskiego.

Widział, jak ogrodnik za parkan wyrzucił starą słomianą matę, przesywaną sznurkiem; pobiegł, zwinął ją, założył sobie na ramię i przyniósł do chaty.

— Widzicie, jaka ci pierzyna, świeci się jakby złota — odezwał się, rozkładając matę na łóżku:

Dzieci, ciesząc się, zaczęły wołać:

— Matusiu, pierzyna ze złota, — patrzcie ino, jak się świeci.

Matka spojrzała z po za łez.

Marysia i Ulinka wdrapały się na łóżko i schowały po za matę, okrywając się płachtą.

— Mata ciepła jak pierzyna — chwaliły, wychylając główki z po za słomy. Jaś, ciekawy na wszystko, poszedł za przykładem sióstr.

— Cieplutka, matusiu, jakby była przetykana pierzem i nie ci nie ciężka.

— I cóż, nam konwisarz z Wątorkiem zrobią — odezwał się wesoło Antoś. Cego się tu trapić matusiu?... A wiecie, że może zostaną we dworze przy koniach. To i chleba co tydzień przyniosę bochenek do chaty.

— Weźże mnie mój Jantós na poganiaca — prosił się Jaś, wychylając głowę z za słomianej kołdry.

— Na wiosnę — zobacys.

Pomysł Antosia okazał się wyborym. Mata była lekka i ciepła.

Tymczasem na licytacji Wątorek ze Szmułem na wspólkę, oprócz innych rzeczy, kupili

pierzynę Jagielnej za sześć papierków. Pieniądze te poszły również na spłatę kosztów sekwestracji.

Dnie wlokły się powoli, lecz tygodnie uciekały lotem ptaka. Zima znaczyła się śniegiem; biało było na świecie; czasem czerwono od zachodzącego słońca, a czasem i ciemno od chmur, i straszno od jęku wiatru. Wrony, lecąc do lasu, krakały.

Matka i Antoś tylko mieli buty; oni też wychodzili z chaty. Chłopiec wymajstrował sobie sanki, i odziany płachtą Smoleńki chodził co dzień do lasu, obrywał suszki, układał na sanki, i wracał z niemi do domu. Jagielina przędła i zarabiała na sól, czasem ludzie płacili jej odrobiną ziarna lub mąki. I wtedy na obiad występowały kluski, z czego było dużo uciechy.

Z uciekającymi tygodniami nikły i kartofle, a zima srożyła się coraz cięższa. Antoś marzył, lecz nie ustawał, drzewo woził, i choć mu głód coraz więcej dokuczał, pośpiewywał sobie:

„Ach, Boże mój,

„Jakże słodki dzióbek Twój.”

Piosnkę tę śpiewywali formale, i dlatego upodobał ją sobie.

Nastał ciężki mróz. Ziemiaków była już tylko odrobina, Antoś wracał coraz weześniej,

coraz mniej drzewa przywoził, zimno go przejmowało, chłopiec, źle okryty, kostniał, z głodu słabnął, lecz się nie skarżył.

— Bo przed kim? Matusia wyjęliby z pod serca, lecz cóż—sami nie mają.

Wieczorem wrócił z lasu Antoś, cały z zimna siny.

Saneczki z drzewem wciągnięto do izby, ogień nałożono, matka pobiegła do karczmy kupić kaszy jęczmiennej.

Antosia przechodziło jakieś zimno po kościach. Zjadłszy kolację, wsunął się pod płachtę, i słomianą matę, przytulił się do Jasia, i usnął.

Nad ranem zaczęła płakać Ulinka, za nią Marysia, Antoś, Jaś i Jagusia nie płakali, lecz z zimna zębami dzwonili.

Napróżno matka tuliła do siebie dwoje najmłodszych—napróżno! Mróz, jak ogień, leciał z nieba, drzewo w chacie trzeszczało. Na świtanie zerwała się, rozpalila ogień, nawarzyła żuru, — dzieci go piły z chciwością — zagrzały się i zasnęły.

Wstał Antoś, zabrał sanki i pociągnął w las. Nie długo jednak bawił — wrócił bez drzewa.

— Matusiu, już nie mogę — szepnął — potoczył się do łóżka i wsunął pod matę.

— A cóż ci to moje dziecko — zawołała przestraszona kobieta.

— Haniebsko zmarzłem w nocy, głowa mi się zawraca, kłuje w boku i pali na wewnątrz. Nie zaszedłbym do lasu.

Nie było czasu na żale i pociechy. Zimno, ten straszny gość, coraz więcej wypełniało izbę. Kobieta się odziała, czem mogła, pochwyciła za powrózek od sanek — wybiegła.

Długo nie wracała. Dzieci, z zimna nie mogąc spać, płakały. Jagusia także drżała, i dlatego nie śmiała wstać i szukać drzewa.

Dobrze już było po południu, kiedy dzieci zobaczyły matkę, a za nią pełne saneczki drzewa. Radość błyszczała im w oczach, wydobywając się ochryplymi głosikami.

Płomień buchnął, — Jagusia się zwlokła pomagać matce do ugotowania jęczmiennej kaszy. Jeden tylko Antos się nie odzywał. Rozpaliło go i usnął.

Markotno było dzieciom bez Antosia, ale jakoś zapomniały o nim wobec gotującej się kaszy jęczmiennej.

— Słyszycie, jak to pyrcy — zwracał uwagę dzieci Jaś na odgłos gotującej się kaszy.

Dzieci słuchały.

— A juści, ze pyrey. Co niema pyreeć, obłożona takim ogniem, zawyrokowała Jagusia.

Kaszę zjedzono, drzewo się spaliło. Jagielina przyniosła snopek słomy od Smoleńki, rozpostarła go na macie; nie mogła wytrzymać w izbie, poszła do dzieci, tuląc je do siebie.

Wiatr się zerwał.

— Bez pierzyny na taki mróz, przy takim wietrze nie przetrzymamy zimy. Dzieciska mi pomarzną, i ja z niemi. Ha, dziej się woło Boza — byle prędzej, byle prędzej — szeptała — bylem ich nie przeżyła.

Wiatr huczał i szarpał chatę, zdawało się, że dach porwie. Nie pomogła derka, ani mata, ani snopek słomy, przyniesiony od Smoleńki. Dzieci z zimna z początku zębami dzwoniły, potem sen ich zmorzył, — matka tylko nie spała, pełna strasznych przeczuć. Mrowie ją przechodziło po ciele, bała się, choć nie wiedziała czego. Ulinka zaczęła się rozpalać, czuła to, tuląc do siebie dziecko.

Za Ulinką poszła Marysia, potem obie ziębły i kostniały. Głowa kobiecie ciężła, sny ciężkie, straszne sny trapiły ją.

Raniutko wyjrzała z za maty Jagusia, za nią Jaś. Matka i dwie dziewczynki spały.

Wiatr się zerwał; dziewczynka wdziała bu-

ty Antosia i wybiegła do sąsiedniego plotu nalać chrustu. Roznieciła ogień, lecz matusia się nie przebudziła. Jaś ją trącał nie śmiało. Oczy otworzyła, i znów je zamknęła. Jagusia z Jasiem szeptali, że matusię musiało zimno wytrząść, bo i z niej gorąco leci.

Ostatek ziemniaków oskrobała i zjadła je z Jasiem.

— Co ja teraz nieszczęśliwa sama będę robić? Antoś chory, matusia nie mogą ocu otworzyć — a tu ci mróz!... Przechyliła się nad łóżkiem:

Matusiu — matusiu — moja złota matusiu — otwórzcie ino ocu, przemówcie słówko...

Matusia nie otworzyła oczu i nie przemówiła.

I cóż miała robić — wsunęła się za słomianą matę. Troszkę płakała, troszkę się skarżyła — zasnęła.

— Pić — pić wołały dzieci, Antoś i matka.

Podawała im wody Jagusia, i znów się przy Antosiu w nogach mateczynych kładła.

Tak przeszedł dzień. Nad wieczorem i Jaś przestał się odzywać. I znowu nastąpiła długa, ciemna noc, straszna swą ciszą, przerywana odgłosem pękającego od zimna drzewa.

Jagusia dygotowała całą noc. Matka się zrywała, wołając przeraźliwym głosem:

— Do dworu, do dworu!

Wystraszona dziewczynka dzikim głosem matki, tuliła się do Antosia, ale dobrze pamiętała, że matusia chciała biedz do dworu.

Przed samem świtaniem wszystko ucichło. Matusia jakoś skostniała i wyciągnęła się, bo też zimno było okrutne — woda w konewce do dna zmarzła. I Jagusia pewnoby umarzła, ale się grzała przy rozpalonym Antosiu.

— Do dworu, do dworu — powtarzała sobie całe rano dziewczynka, choć nie miała odwagi wstać.

I po cóż miała wstawać, kaszy już nie było — i ani jednego ziemniaka.

— Do dworu, do dworu — coś jej szeptało do ucha.

Zerwała się, wysunęła powoli matę, okryła się nią, i w butach Antosia, brnąc po śniegu, szarpana przez wiatr, dostała się do kuchni. Wpadła z płaczem.

Szczęściem była pani.

Za parę chwil przed chatą Jagieliny wysiadła panienska z Jagusią. Za niemi niósł lokaj garnczek ciepłego rosolu.

Zapóźno! Troje dzieci i matka zmarznięte! Umarła trzymała Uliśię w objęciach, — Marysię, przytuloną do niej, obejmowała ręką. Jaś skulony leżał na skraju łóżka.

— Ratujcie — wołała przerażona panienska. Nadbiegł fornał.

— Moja panienko, niema tu już rady. Skostnieli na piękne. Niechno panienska spojrzy, jakie to mają zamarznięte oczy... Bez pierzyny na taki mróz, toby i pies nie wytrzymał, a cóż to mówić o kobiecie i takim drobiazgu. Jeszcze jedno zostało, możeby to panienska jako uratowała.

Panienska posłała po ciepłe okrycie, aby w niem Antosia przewieźć, tymczasem karmiła go rosolem. Chłopiec pięć dni prócz wody nie w ustach nie miał.

Jagusia cicho, lecz serdecznie płakała.

Nadjechał dziedziec.

— Prawdziwa tragedia — zawołał, — był bowiem z niego kawał literata.

— Ojeze, i pozwalamy na to, aby pod naszym bokiem ludzie umierali z zimna — mówiła córka.

— Po oddzieleniu dworu od gminy, pozostało nam jedyne prawo: patrzeć i słuchać.

— Trzeba je zmienić.

— Idź do sejmu, moje dziecko.

— Żebym się tylko tam dostać mogła, powiedziałabym im! .

Opakowanego Antosia a z nim i Jagusię odwieziono do dworu.

Jagielińę i troje jej dzieci pochowano w jednym dole. Gospodyni jegomości odebrała derkę. Antos ułożony na piecu w kuchni — w dwa tygodnie przyszedł do siebie. Dziedzie mu kupił kożuch, i przeznaczył za chłopca przy cugowych koniach. Panienska zajęła się Jagusią.

* * *

Niepamiętają dzieje miasta Gęsiorowa tak hucznego karnawału, jak tej zimy.

Pan Żurczyński zaszczycał swą obecnością każdy bal i na każdym dowodził. Minę miał dziarską, hołupce bił głośno — damy mówiły, że tańczy z życiem — panowie, że dobry z niego polak, bo aż dusza rośnie, tak mazura wodzi. Przytem świetny ten młodzieniec grał w preferansa wyśmienicie i bezinteresownie. A że przy kartach najlepiej poznaje się ludzi, utrzymywano, że pan Żurczyński jest honorowym.

Często pan sekwestrator prywatny, będąc w dobrym humorze, opowiadał o wielkich zdolnościach ludu naszego do wszelkiego rodzaju zbrodni, popierając swoje opinie rozlicznymi anegdotami, w których lud odgrywał zawsze czarne role.

Damy Gęsiorowa ubolewały, że tak dystyngowany młodzieniec skazany jest na nieustanne zbliżanie się z zepsutem chłopstwem. Pan prezydent Gęsiorowa, podobno z rozkazu pani prezydentowej, zaproponował młodemu człowiekowi posadę sekretarza magistratu, lecz pan Żurczyński grzecznie się od tego zaszczytu wymówił. Damy są zdania, że jedynie tylko dlatego odmówił posady przynoszącej ośmset zlr. dochodu, aby nie zawiązywać sobie świata wpływami i protekcją osławionej pani prezydentowej.

— Jest to młodzieniec porządny i moralny — mówiła pani pocztmistrzynie do pani aptekarzowej, a opinie tych dam decydowały w Gęsiorowie.

* * *

A teraz dla usunięcia wszelkich wątpliwości, i na świadectwo powyższego opowiadania, posłuchajmy jednego ustępu narad z posiedzeń

Towarzystwa Rolniczego krakowskiego, odbytych 26-go i 27-go listopada 1880 roku.

Z kolei nastąpił XV punkt porządku dziennego: „Nadużycia przy egzekucyi podatków.“

Wice-prezes Towarzystwa zabiera głos, w celu dopełnienia uchwały Rady Ogólnej galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego we Lwowie, na którem podniesiono sprawę nadużyć przy egzekucyi podatków, wraz z wnioskami pożądanej w tej mierze reformy.

„Rada ogólna jednogłośnie uchwala polecić komitetowi, aby się odniósł do właściwych władz rządowych, tudzież do Koła Polskiego w Wiedniu dla powstrzymania nadużyć.“

„Dla ściągnięcia zaległych podatków wpraszają się do tej czynności po powiatach *sekwestratorowie prywatni*. Ci panowie rekrutują się zazwyczaj między ludźmi niższych warstw, częstokroć bez żadnego innego utrzymania, a wątpliwej konduity.“

„Najczęściej są nimi pokątni pisarze, lub wydaleny z posad urzędnicy.“

„Ciekawy fakt przytacza jeden z oddziałów Towarzystwa Gospodarczego. Sekwestrator zjeżdża do gminy, aby ściągnąć zaległości, siedzi tam trzy miesiące, pobiera 4-ry zlr. dyet dziennie, i czeka — na co? oto na zmlócenie zboża.

Po zmlóceniu zabiera je, sprzedaje, i dopiero okazuje się, że nawet należność za sekwestrację nie została pokrytą, nie mówiąc nic o właściwej zaległości podatkowej.“

„Faktów podobnych znajduje się więcej w aktach lwowskiego Towarzystwa.“

„...Lecz nie dość na tem, że postępowanie takie do olbrzymich rozmiarów zwiększa ciężar podatkowy, że opodatkowanych do nieuchronnej wiedzy ruiny, wartoby się zastanowić nad tem, jakie dalsze za sobą społeczne pociąga następstwa. Co więcej zgodzić się musimy, że system taki istnieje z najwidoczniejszą szkodą skarbu państwa.“

„Nie mówię tu o tem, że ruina opodatkowanych stratę skarbowi przynosi, ale o tej stracie najbliższej, bezpośredniej, że system ten zamiast przyspieszać, opóźnia ściąganie zaległości, częstokroć je uniemożliwia; bo nierzadko ściągnięta kwota nie wystarcza na pokrycie zaliczkowanych przez sekwestratora kosztów.“

„Zastrzegam, iż nie tykam osobistości pp. sekwestratorów, między którymi mogą być najgodniejsi ludzie“.

„Czy jest możliwa kontrola nad takimi organami ze strony najenergiczniejszej władzy politycznej? *Nie*. Złemu dałoby się tylko w ten

sposób zaradzić, gdyby egzekucya podatków na powrót była oddaną urzędnikom administracyjnym, a w ostatecznym razie posłaniec karnej, ub egzekucya wojskowa prędzej doprowadzą do celu.“

Wniosek komitetu, który mam zaszczyt wam przedłożyć, panowie, brzmi:

1) Odnieść się do Towarzystw Okręgowych i do Rad Powiatowych w zachodniej części kraju o nadesłanie jak największej liczby niewątpliwie stwierdzonych faktów, świadczących o nadużyciach przy egzekucyi podatków. Po zebraniu takowych postawi Komitet tę sprawę na porządku dziennym najbliższego zebrania ogólnego.

2) W razie przedstawienia tej sprawy na najbliższym kongresie rolniczym, w połączeniu z pytaniem o reformie podatkowej przez delegatów Towarzystwa Gospodarskiego lwowskiego, delegaci Towarzystwa Rolniczego krakowskiego popierać mają żądania delegatów bratniego Towarzystwa w duchu uwag niniejszym referatem objętych.

Na zapytanie pana przewodniczącego, czy kto nie żąda w tej sprawie głosu, zabrał go najprzód *delegat jednego z towarzystw okręgowych*:

„Ze względu na panujące dobre stosunki między starostami a radami powiatowymi, należałoby być bardzo ostrożnym w zbieraniu wiadomości, gdyż zbieranie owe mogłoby zachwiać ową błogą harmonię i zgodę i mogłoby źle usposobić, a co gorsza, mogłoby rozdrażnić panów starostów przeciwko radom powiatowym!

Prezes nie zgadza się ze zdaniem, aby zbieranie faktów miało ubliżać starostom.

Jeden z delegatów radzi wyjednać zaniechanie tej kwestyi ze strony Towarzystwa lwowskiego, na tej zasadzie, że między prywatnymi sekwestраторami dużo jest polaków, co mogłoby zaszkodzić imieniu polskiemu.

Delegat X. do delegata XX. (półgłosem): Otwórzmy więzienia, aby uchronić się od zarzutu, że między polakami są rabusie.

Delegat XX. do delegata X: I w konsekwencji pozwólmy im się rabować, nie mówiąc o tem nikomu.

Delegat [Ropczycki. Rozumny i krajowi życzliwy starosta nie obrazi się wcale, jeżeli mu ktoś doniesie o nadużyciach. Owszem, będzie to uważał za ułatwienie i poparcie swoich dążeń, będzie się starał usunąć nadużycia.

Używajmy rozsądnie i sprawiedliwie tej swobody, że możemy z nadzieją dobrego skutku

poskarżyć się, gdy nam kto krzywdę wyrządza; serwilizm bowiem i brak cywilnej odwagi zbyt dużo złego w Galicyi narobił, ażeby się z niego nie otrząsnąć i nie wypowiedzieć śmiało tego, co nas boli.

Po krótkich przemówieniach innych delegatów wnioski komitetu uchwalono.

Czytał sprawozdanie drukowane nakładem Towarzystwa rolniczego lwowskiego pan Żurczyński, i po odczytaniu XV-go punktu porządku dziennego, pogroził pięścią w stronę Krakowa i zawołał:

— Dam ja wam, gdy do was jeszcze kiedy na sekwestrację przyjadę.

Damy Gęsiorowa oburzyły się na delegatów Towarzystwa Rolniczego krakowskiego, utrzymując, że pan Żurczyński poświęca się dla kraju bezinteresownie.

K O N I E C.

POZYTYWIZM W PRAKTYCE

POWIEŚĆ.

PANNIE KATARZYNIE LEBOWSKIEJ

Pracę tę poświęca

Autor.

I.

Lato miało się ku schyłkowi, zmieniając się w pełną czarów jesień, cichą, tajemniczą, rozmarzoną, rzucającą [na świat dziwne jakieś, uroczne blaski pożegnania, strojące ziemię w purpurę i złoto.

Kraków był ożywiony; zdarza mu się to w zwyczajnych stosunkach dwa razy na rok. w czasie przyjazdu gości z za Wisły—i ich powrotu za Wisłę. Na ulicach ruch, twarze obce: głośne rozmowy; w hotelach gwarno i wesoło,

Stare mury Krakowa słuchają w milczeniu tej wrzawy, patrzą w milczeniu na obce twarze, i nie dziwią się. Tyle już rzeczy widziały i nie dziwiły się... Za to powagi krakowskie stają, oglądają się, kiwając znacząco głowami, na śmiałków, którzy przyśpieszonym życiem i głośną wesołością zakłócają grecki spokój nowożytnych Aten.

Goście Krakowa nic sobie nie robią z greckiej powagi młodych Aten a starego miasta, posądzając je raczej o senność. Nic sobie również nie robiąc z patrzącej groźnie w górę wieży ratuszowej, a nawet z surowości architektonicznej komina, przyczepionego do jej murów.

Właśnie przypatrywał się tej zagadkowej strukturze, nie z powagą Greka, lecz z ciekawością szlachcica polskiego, okazałej budowy mężczyzna, z przewieszoną na jednym ramieniu torebką, a na drugim w futerale lornetą.

— Wuju, wuju dobrodzieju, rozległ się młody, świeży głos, od strony Baranów.

Wuj dobrodziej obejrzał się, rozkrzyżował ręce, postąpił krok naprzód i przycisnął do pierśsi siostrzeńca.

— Jakże Karlsbad? — pytał, wydobywając się z uścisków, młody człowiek.

— Miałem podobno schudnąć — odparł wuj, podniósł ręce i obrócił się z gracyą, tak, że siostrzeniec mógł jednym rzutem oka objąć wspaniałą postać wuja dobrodzieja.

— I cóż? — pytał — jakże znajdujesz?

— Niema nic zastraszającego.

— Chciałeś powiedzieć, pocieszającego. Zemną, proszę cię, nie żenuj się. Prawda przedewszystkiem. A cóżeś ty robił w Zakopanem?

— Zaprzyżądziłem się z Sieczką, drapałem się po górach, unikałem ludzi: słowem, żyłem na łonie natury. — Mówiąc to, wsunął rękę pod ramię wuja, prowadząc go dalej.

— A Władek?

— Zrobił kapitalne głupstwo.

— Głupstwo! — co ty mówisz? — I korzystając ze sposobności zdziwienia, przystanął, ciężko oddychając.

— Małe głupstwo — szaleństwo.

— Bój się Boga! a mówże prędzej.

— Był w Krynicy.

To jeszcze daleko do szaleństwa.

— Oświadczył się.

— I to się zdarza, bez straty rozumu.

— Ale się oświadczył o pannę bez grosza posagu.

— Niepodobna!

— Przysięgam wujowi. Zakochał się jak student — i mimo, że mu matka panny, a potem sama panna, dały do zrozumienia, że nie nie dostanie — oświadczył się!

— Nie do uwierzenia!

— Mówił mi to sam.

— Trzeba przecie radzić. Od czegoż ty jesteś — starszy brat.

— Właśnie dlatego to zapraszam wuja na herbatę do nas dzisiaj.

— Gdzież stoicie?

— W Drezdeńskim. Musimy złożyć walną naradę familijną.

— Szkoda byłoby chłopaka. Dobrze ci tak, bo nie należało, znając jego skłonność do miłości, puszczać go samego.

— Ależ Władek jest pełnoletni. Precz z opieką: to moja zasada.

— Jest to zasada pozytywistów. Oj ty, ty, egoisto! Stawię się o ósmej.

— Czekamy.

Pozytywista skręcił do Sukiennic, idealny wuj pomknął ku Grodzkiej, dźwigając swą tuszę. Nagle stanął, odwrócił się.

— Kaziu — zawołał tubalnym głosem, że aż przechodzący obok chudy profesor krakowski, wzdrygnął się cały. — Kaziu!

Pozytywista nadbiegł.

— Po naradzie wartoby zrobić partyę, nie zapomnij-że o kartach.

— Niech wuj będzie spokojny.

Istotnie wuj był spokojny — nie zadając sobie pytania: kto były matka i jej córka, o któ-

wą się oświadczył syn jego nieboszczki siostry? Nie miała posagu: to mu wystarczyło. A że był zapobiegliwy, wstąpił do Armatysa uprowidować się w futro. — Strzeżonego Pan Bóg strzeże — powtarzał z takim namaszczeniem i dumą, jakby on sam ułożył to przysłowie.

II.

W obszernym pokoju Hotelu Drezdeńskiego, na kanapie, siedział młodzieniec pogrążony w zadumie. Głowę pochylił na piersi, szerokie czoło lekko zmarszczył, niebieskie duże oczy utkwili w jeden punkt i od czasu do czasu zagłębiał długie palce ręki w bujną grzywę blond włosów, targał je i milczał. Tuż obok niego, ułożony wygodnie w fotelu sapał wujcio, starając się rysom twarzy nadać wyraz surowy a nawet tragiczny. Kazimierz chodził po pokoju szerokimi krokami, oczy jego świeciły ogniem gorączki, wywołanej dyskusją, zaciśnięte usta mówiły o sile woli, a żywe ruchy zdradzały dużo energii. Stał przed bratem, przemawiając na pół rozkazującym tonem:

— No, kochany Władku, musisz się zdecydować stanowczo.

— Decyduj się — poświadczył wuj. Najlepiej zdecydować się odrazu.

— Kocham — zawołał z namaszczeniem Władysław.

— No — ba — tak — szlachetne to uczucie miłość. I ja kochałem...

Kazimierz się uśmiechnął.

— Ty, cyniku, umiesz się tylko ze wszystkiego śmiać, pochwylił wujcio.

— Ależ, bo nie mogę sobie wuja wyobrazić zakochanego—odpowiedział Kazimierz, całując olbrzymie, okrągłe ramię.

— To raczej ciebie nikt nie jest w możności uprzytomnić sobie w tym szlachetnym, idealnym stanie. Pozytywiści i materyaliści tacy jak ty, świat wyssa z uczucia, że nie zostanie go na lekarstwo.

— I pozytywiści kochają mój wuju, lecz wtedy, gdy im na to pozwala rozsądek, a raczej rozum.

— Wy, tym swoim głupim rozumem zabijacie uczucie: ot co ci powiem.

— Dlaczegoż wuju walczysz z Władkiem?

— Walczę ale miłością, bo powinien przede wszystkim kochać, ale tradycją, mieć przywiązanie do rodzinnego kawałka ziemi, nareszcie do kraju. Tak, do kraju—powtórzył z mocą. I jeżeli odzywam się do niego, to w imię

tego samego uczucia; a ty w imię rozumu albo egoizmu, co na jedno wychodzi.

Wujcio powstał rozentuzymowany wymową; czuć było, że był dumny z siebie. Chodząc chłodził się chustką; Kazimierz dobrotliwie się uśmiechał.

— I czegoż wy chcecie?—zawołał Władysław —bankrutem nie jestem, posiadam majątek wartości blisko stu tysięcy rubli. I pod grozą zdrady kraju nie wolno mi mieć praw pierwszego lepszego robotnika, który wybiera sobie za żonę tę, którą kocha.

— Bo masz obowiązki—zawołał wuj—obowiązki, których nie ma robotnik, które miłość twą powinny w inną skierować stronę. Ot, co ci powiem.

Wujcio podniósł olbrzymią rękę, wskazując tragicznie na Władysława.

Kazimierz zbliżył się do brata, oparł rękę na jego ramieniu i zaczął mówić, jak tylko umiał i mógł najserdeczniej.

— Władku, traktujmy sprawę poważnie. Oprócz czystego rozumu, którego krytyce musisz się poddać, nikt inny nie śmie być twym katem. Zgadzam się: jesteś zamożnym, obywatalem, posiadającym przeszło pięćdziesiąt włók dobrej ziemi. Niema mowy o obowiązkach, bo

te można włożyć na barki, lub je zdjąć, stosownie do swych pojęć lub zamierzonego celu.

— Protestuję —przerwał z zapalem wujaszek.

— Lecz, widzisz, w naturze ludzkiej—mówił dalej Kazimierz — jest nienasycone pragnienie posiadania. Im więcej mamy, tem łatwiej przyzwyczajamy się do własności, majątku, zbytków; gdy przeciwnie, strata wprawia nas w rozpacz. Do braku nie jesteśmy zdolni przywyknąć. I to są, mój drogi, prawa postępu — cywilizacyi.

— To są prawa egoizmu, dzikiego egoizmu i nie więcej!—zawołał wujaszek. Nie wolno ci uronić, z tego coś odziedzyczył, bo zabierze nam z przed nosa kawał ziemi Niemiec. Miłość jest podstawą stosunków. To powiedziawszy, stanął w herkulesowej postawie.

— Na Byszowie masz sploty—ciągnął spokojnie Kazimierz. — Maryni, nie licząc towarzystwa, trzydzieści tysięcy rubli.

— Marynia nie woła — odparł Władysław.

— Ale zawoła, gdy jej córka dorośnie.

— Dziewczyna ma już trzynaście lat — dał wuj.

— A teraz ja wam powiem — rzekł z mo-

cą młody człowiek, zrywając się z kanapy. Oświadczyłem się o pannę, przedewszystkiem szlachetną, rozumną, skromną, o ile slyszalem, pracowitą, a że nie ma posagu, przypuszczają należy, niewymagającą. Przy pracy i oszczędności mam nadzieję uskładać trzydzieści tysięcy w pięciu latach.

— Albo, pomimo pracy i oszczędności, przy nieszczęściu, stracić trzydzieści tysięcy.

— I wylecić z Byszowa — dodał wujaszek. Gospodarstwo to loterya — i dlatego trzeba mieć na podtrzymywanie stawek gotówkę. Tyś nie urzędnik, któremu płacą pensyę, czy na dworze deszcze leją lub grady biją. Ty zależyś od kaprysu nieba, a na te kaprysy trzeba mieć gotówkę. Niechaj urzędnicy żenią się ubogo, lub fabrykanci. Im wolno.

— Nareszcie, sprzedam Jachimówkę — rzekł z rezygnacją młodzieniec.

— Mam cię! — zawołał wujaszek. Jachimówka jest spichlerzem Byszowa; za Jachimówką pójdzie Byszów. I z piękną swoją Dylezynieą a trojgiem dzieci, przyjedziesz do Warszawy szukać miejsca kasyera albo rachmistrza. — Wujcio- wi krepłe potu wystąpiły na czoło i łysinę. Obcierał je chustką z namaszczeniem i dumą.

— Więc czegoż chcecie? — spytał na pół zrozpaczony młodzieniec, opierając się tragicznie o framugę okna.

— Przypuszczam, że tak źle nie będzie — rzekł Kazimierz, — lecz ponieważ zakładając rodzinę, dajesz kapitału sto tysięcy rubli, masz prawo i powinność wymagać, aby i druga strona dała choć by połowę. Tym sposobem ułoży się równowaga i dzieci nie będą miały żalu do was.

— Nie wolno dla fantazyi wydziedziczać własnych dzieci — przemówił surowo, jak Kato, wujaszek.

— Mogę nie mieć dzieci — szepnęła Władysława.

— Bądź spokojny, gdzie jest młodość i miłość, tam i drobiazgu na tuziny.

Wujcio się rozśmiał ze swego konceptu.

— Nie wiem za co pastwicie się nademną, starając się wydrzeć mi z serca najlepszą moją cząstkę.

Dla twego szczęścia, dla twego dobra, dla twej przyszłości — rzekł słodko wujaszek.

Nastąpiła cisza, przerywana miarowym oddechem zmęczonego dykcyą wujcia.

Rozstąpiły się chmury, księżyc wypłynął na błękitne szlaki, rzucając snopy tajemniczego światła na rynek krakowski. Kościół Panny

Maryi, Sukiennice i wieża Ratusza kąpały się w lazurze i srebrze. Myśl mimowoli cofała się w daleką przeszłość i, bratając się z wyobraźnią, czekała, rychło-li od Bramy Floryańskiej zadudnią po bruku podkowy koni, zachrząszczą zbroje, skrzydła hussarzy i świetny orszak, okryty sławą i kurzem bitwy, wkroczy na rynek stolicy. Rycerze owi nie znali pozytywizmu, ani nie rozprawiali o poświęceniu; przelewali krew z obowiązku i kochali, gdy dziś, ich wnukowie stawiają sobie bezpieczne wały sofizmatów, aby się kryć za nie, przy lada silniejszym biciu serca lub szlachetniejszym popędzie.

Władysław, patrząc na wielki rynek i jego zadumane wieżyce, nie wiem, czy wywoływał duchy ojców, lecz zamyślił się głęboko i widać było po zmarszczonem czole i oczach, które patrzyły bez drgnienia daleko — że cierpi i walczy. Pierwszy raz świat stanął w opozycji przeciw jego woli. Marzenia młodzieńca, złote sny, nadzieje szczęścia, które go tak rozkosznie kołysały, zdruzgotano w jego oczach, zmieniając na potwory zawodów i nieszczęść.

On miałby być wypędzony z Byszowa? — Wzdrygnął się cały.

— Zimno ci? — zapytał go troskliwie Kazimierz.

— Ja kocham ją — szepnął, ukrywając twarz w dłonie.

— Tego rodzaju fantastyczne uczucia, pod promieniami czystego rozumu, jak mgła od promieni słońca rozwieją się — wygłosił poważnie starszy brat.

— Rozwieją się — powtórzył wujaszek — za ręczęm ci, że się rozwieją. Kazio, choć pozytywista do ostatniej kropli krwi, poetycznie się wyraził. Wiesz Władek co, jedźmy do Warszawy na dwa tygodnie... Jedyne to miasteczko i jedyne lekarstwo na nieproszonogo gościa, który jak robak wgryzł się w twe serce. Trzeba go zdusić w zarodku, bo inaczej może być źle. Znam ja to! Zadzwoń: służba wniosła światło — i wujcio nieznacznie rozłożył zielony stolik, przesuując po nim karty.

Władysław siedział nieruchomie, nie odejmując dłoni od twarzy.

— Mój Władziu, tylko nie rozpaczaj! Jesteś pełnoletni i jeżeli gwałtem chcesz lecieć w przepaść, my cię nie możemy krępować powrozami przymusu.

— Możemy i będziemy, ale moralnemi — odezwał się od zielonego stolika wujcio, na co znów Kazio się uśmiechnął.

— Wujaszek nie ustępuje ani kroku.

— Bo umie: paść, albo zwyciężyć.

Władysław podniósł się z wolna, wyprostował, spojrział melancholijnie na brata, z uśmiechem rozpaczy na wujcia — wziął kapelusz...

— A to gdzie? — spytał przełknięty wujaszek.

— Poszarпалиście wszystkie moje nadzieje, ośmieszyliście je. Pozwólcież mi wejść w siebie, być sam na sam choć parę chwil — walczyć.

— Obyś wrócił zwyciężcą! — zawołał wujcio.

Władysław wyszedł.

— Brawo, wujcio, — odezwał się wesolo Kazimierz.

— Umie walczyć, co? Aleśmy mu sumienie nakruszyli. Do szlachcica polskiego zawsze trafisz miłością kraju. — I mówię ci, Kaziu, że to dobry znak. Niech przez ciebie gada, co chce, twój pozytywizm: mówię, że to dobry znak. Jak ci się zdaje: co postanowi Wladek, gdy wejdzie w siebie?

— Pomimo sentymentalizmu, którym jest przesiąknięty, umie on rachować.

— Rachować, rachować. Jakiż z ciebie przebrzydły materyalista! A ja ci powiem, że przy miłości swej, bo to widać, że się zakochał,

umie on się poświęcać. A i my po pracy mamy prawo zabawić się.

— Przyznam się wujowi, że nie mam wielkiej ochoty do gry.

— Więc cóż będziemy cały wieczór robić? Powtarzać obgadane plotki, lub stare koncepta odgrzewać?

— Nareszcie powiem prawdę, słabo gram w pikietę.

— Wiesz, idealna mi myśl przyszła.

— Słucham.

— Gruszecki stoi obok mnie, nie zna nikogo w Krakowie i pewno się nudzi. Poszlę po niego i zrobimy sobie wiścika z dziadkiem.

— Jeżeli koniecznie.

— Koniecznie, bo mnie i tobie potrzeba dystrykcji, rozerwania myśli. Małośmy się namęczyli?

Wujcio na bilecie napisał zaproszenie i posłał je do Hotelu Saskiego. Za parę chwil stał się Gruszecki i wśród milej gawędki i konceptów wujaszka toczył się spokojnie wist, rober za robrem.

Z pochyloną na piersi głową, z założonemi za siebie rękami, szedł wolno zropaczony młodzieniec, przesuwając się wśród czarnych drzew

i zielonych liści, oświeconych światłem latarni. Często stawał, ręce wznosił do nieba i srebrnych gwiazd, wzdychał ciężko, szydersko się śmiał— po czem znów zapadał w głęboką zadumę.

O czem myślą sentymentalni, gdy walczą z rozsądkiem, nie wiem — to można tylko przypuścić, że jeżeli dopuszczają do walki rozsądek — zwykle przegrywają.

Partya się skończyła, wujcio, majster w wi-
sta, wygrał — i z samej logiki faktów prosił to-
warzyszy na kolację. Był i szampan. Pito na
cześć gospodarza i zgody serca z rozumem.

Gruszecki poszedł do siebie; wujcio posta-
nowił czekać powrotu Władysława, który nieba-
wem nadszedł.

— Władku, chodź w moje objęcia,—wołał
rumiany, widać ci z oczu, żeś się pokonał. O—to
wejsie w siebie, wierzaj mi, dużo znaczy. Przy-
cisnął młodego człowieka do swych potężnych
piersi,—którychby się Fidyasz nie powstydzil,—
całując go w głowę. Wiesz, gdy tylko człowiek
wejdzie rzetelnie w siebie, to z pewnością wy-
jdzie innym. — Kocham cię, jutro jedziemy do
Warszawy,—bo cóż to tu za piekielne nudy!

Kazimierz wyciągnął rękę do Władysła-
wa—uściskali się w milczeniu serdecznie.

— Istotnie przyznaje,—zagalopowałem się—
rzekł smutno Władysław.

— Zapędziłeś się galopem, a trzeba się
cofnąć truchtem, to jest z taktem i elegancją.
Wujcio się rozśmiał, oczy mu świeciły, zacierał
ręce i był dumny z siebie.

— Z taktem i ucziwie, ale jak? — pytał
młodzieniec. Boję się, aby Zosia nie odchoro-
wała zerwania.

— Powoli, elegancko i z szykiem — a jak
to zrobić? powinniśmy się naradzić. Otwieram
dyskusję. Kaziu, masz głos.

— Podobno panie te mają opiekuna —
spytał Kazimierz.

— Mają, poznałem go w Krynicy.

— Napisać do niego, przedstawiając mu
ze spokojem i godnością całą rzecz.

— Mieszać w sprawy sercowe ludzi ob-
cych?—odezwał się Władysław.

— Trafiłeś jak kulą w plot—zawołał wujcio.

— Opiekun człowiek zimny i obojętny, —
mówił zakochany,—przeszle list matce — matka
odda go córce i gotowa katastrofa. A gdybym
odebrał wiadomość, że Zosia zachorowała skut-
kiem zerwania, rzucam wszystko i wracam, aby
ją na kolanach błagać o przebaczenie.

— Nigdy nie radzę bawić się w pisaniny, zakonkludował wujcio. Tem więcej w tym wypadku wyglądałoby to na lekceważenie. Przecież to rodzina szlachecka, poważana—wystrychnęlibyśmy się na dudków. Trzeba całą sprawę skończyć z honorem. Ot co wam mówię.—Ty, jako starszy brat i opiekun, pojedziesz,—poznasz...

— Ja?...

— Tak, ty załatwisz całą sprawę osobiście.

— A to dla czego?

— Boś ty zmusił Władzia do zerwania.

— Ależ...

— Żadnego ale—pojedziesz. Jesteś z całej rodziny najbardziej ogładzony, masz wykształcenie, czysty rozum, z którym tak lubisz wyjeżdżać. Do tego dodaj przytomność umysłu, dowcip i twój ulubiony pozytywizm. A nareszcie jestto, jako starszego brata, twój najświętszy obowiązek.

— To raczej wujaszek...

— Nie pleć, bo wiesz dobrze, jak ja się łatwo rozczulam. Zobaczę lzy u ładnego dziewczęcia—i po mnie. Sam byłbym gotów zaszlochać. Ja mam serce!—Co innego ty — pozytywista, a mówiąc prawdę egoista skończony—ty sobie dasz radę.

— W końcu możesz powiedzieć prawdę o stanie mego majątku — dodał Władysław. — Bo przyznam się wam, że oprócz spłaty Maryni mam jeszcze, wprawdzie niewielkie, lecz dotkliwe długi. Przecież tego pisać nie można.

— A niech Bóg broni! Toby tak wyglądało, jakbyś chciał kuć przeciw sobie samemu broni. Przez zemstę mogłyby pokazywać ten list w okolicy—a choćby nawet opiekunowi... Cóżto nie wiecie, że w Polsce języki długie, — że polska szlachta, to jakby jedna rodzina—kuzynów, ciotek bez liku? Za tydzień wiedziałoby o tem całe Łęczyckie, a za dwa tygodnie twój ekonom rozmawiałby o twych długach z pachciarzem. Tegoby jeszcze brakowało...

— A więc, kochany Kaziu, zgadzasz się—mówił, serdecznie zbliżając się do brata, Władysław.

— Musi,—zawołał wujcio,—musi— od czegoś poświęcenie. Przepraszam pana pozytywistę—rozum—wreszcie szacunek dla samego siebie i swojego nazwiska. Słuchajcie: taki stawiam projekt. Jutro z Władziem wyjeżdżamy, bo chłopiec przecie potrzebuje rozrywki, odurzenia, aby mu łatwiej przyszło zapomnieć; a ty, mój pozytywisto, wieńcz swe dzieło pomyślnym skut-

kiem, czyli lataj przepaść, którą sam zrobiłeś. Widzisz i ja umiem poetycznie się wyrażać.

— Lecz cóż ja powiem?

— A to wyborne!—dekłamował przez cały wieczór, prosił, zaklinał, a teraz nie wie, co powie. Jeżeli wszyscy pozytywiści są tak dzielni gracze, winszuję im. Co masz powiedzieć? Powtórzyć coś mówił bratu przed dwiema godzinami, tylko w odpowiedniej formie, ozdobionej stosownymi oratorskimi gazami dla mamy dobrodziejki i jej córeczki. Nic więcej nie żądamy.

— Błagam cię jednak — rzekł z uczuciem Władysław, — abyś to zrobił w najdelikatniejszy i najszlachetniejszy sposób. Są to kobiety bardzo dystyngowane i uczuciowe. Kaziu, daj mi słowo, że ich niczem nie dotkniesz, że podczas pobytu w Zalesiu żądło twego dowcipu ukryjesz głęboko w sercu.

Kazimierz się uśmiechnął nieznacznie, lecz pośpieszył odpowiedzieć.

— Czyż może być inaczej? — Panna Zofia, gdyby miała posag, lub gdyby na to pozwalały twe interesa, byłaby moją bratową, matka jej matką twej żony. Nareszcie pochlebiam sobie, że jestem człowiekiem dobrze wychowanym, przyzwyczajonym oddawać należną cześć kobie-

tom. Zostało nam jeszcze coś z rycerskości dawnych wieków—mimo pozytywizmu.

— Przyjdzie ci całą kwestyę przeprowadzić łatwiej, niż komu innemu, gdyż mówiłem Zosi o twym pozytywizmie.

— Mówiłeś?

— Bardzo często; lubiła się wypytywać o ciebie, o twe zasady. Nie było dnia, abyśmy nie mówili o tobie. Zna cię wybornie.

— Rzecz skończona, dyskusya zamknięta. Kazio da sobie radę, jestem pewien, niema o czem mówić; lecz boję się, abyście nie rozprawiali przez całą noc. Wyborna idea przyszła mi do głowy. Sprowadzam się do was, aby jutro rano obudzić Władka, zabrać go i razem z nim wyjechać.

Rzeczy przyniesiono z Saskiego Hotelu, z niemi pościel, i wujcio, ułożywszy się wygodnie, zgasił światło i zmusił braci do spoczynku.

Władysław nie spał, przewracał się, wstawał, chodził i jakby usiłował akompaniować chrapaniu wujcia, wzdychał często i miarowo.

Nazajutrz rano odwoływał wszystko, co postanowił wczoraj — protestował przeciw wyjazdowi Kazimierza do Zalesia, nie chciał jechać do Warszawy. W głośnych deklamacyach przepraszał swą ukochaną Zosię i jej matkę, rad

był lotem ptaka być u nóg swego anioła—a mimo to, po wypiciu kawy, zapaleniu cygara, gdy siódma wybiła i służący hotelowy dał znać, że czas już jechać na kolej, dał się uprosić i zabrać, ale tylko na jeden tydzień. Kazimierza zaklinał, aby jechał do Zalesia, lecz tylko w zamiarze poznania Zosi i jej matki.

— Za tydzień, kochany Władziu, dasz z Warszawy stanowczą odpowiedź bratu—mówił wujaszek, mrugając znacząco na Kazimierza.

— Ależ ja jestem zdecydowany dziś — zawołał dramatycznie Władysław.

— Dobrze, wybornie—za tydzień napiszesz bratu, co ma mówić w twojem imieniu.

— Bo i mnie nie wypada — rzekł półgłosem Kazimierz do wujcia—zaraz pierwszego lub drugiego dnia zrywać. Trzeba poczekać na sposobność.

— Która przez tydzień czasu musi się nadarzyć,—odparł wujaszek.

— Co się musi nadarzyć? — pytał Władysław, wracając z drugiego pokoju.

— Sposobność do zrobienia partyi w wagonie, i dla tego zabieram karty. To mówiąc, zawiązał dwie talie wó wczorajszą gazetę i schował do kieszeni.

Pojechali na kolej; Kazimierz ich odprowadził.

— Jakże wuj myśli? — Władek wytrwał w swem postanowieniu?

Wujcio zaśmiał się głośno.

— Warszawka umie leczyć młodzież ze zbytnej czułości serca. Już mnie to zostaw.

— I nie napisze, abym nie zrywał.

— Z pewnością.

— Korzystać więc ze sposobności?

— Dziś—jutro.

— Muszą być wielkie nudy na małej, galicyjskiej wiosce, jechać jednak muszę, aby skończyć z godnością.

— Musisz,—szepnął wujcio,—musisz z szacunku dla nas samych. Bo jeżeli my się przestaniemy cenić...

Zadzwoniono, nadszedł z biletami Władysław, bracia uściskali się serdecznie — wujciowi roily się koncepta—maszyna świsnęła przeciągle, pociąg ruszył — pojechali.

Kazimierz wrócił do miasta. Idąc przez planty, rozważał:

— Gdyby Władysław nie był szlachcicem polskim, gdyby miał energię Anglika, wytrwałość Niemca i spryt Francuza do robienia pieniędzy z niczego — niechby się żenił, jak by chciał

i z kimby chciał. Lecz, niestety, jest on tylko polskim szlachcicem. Natura słaba, sentymentalizmu w nim tyle, żeby mógł nim obdzielić trzy stare panny; — o wytrwałości niema mowy, za to fantazyi zawiele. Zapala się jak iskra, chłodnie jak żelazo — deklamuje. I cóż dziwnego, że go opanowały szlachcianki, rade podreparować się jego majątkiem! Poznawszy słabe strony młodzieńca, deklamowały razem z nim. I nareszcie zabawiły się w szlachetność i bezinteresowność, ostrzegając go, że posagu nie dostanie, albowiem sam mógłby się o tem dowiedzieć w dwadzieścia cztery godziny. Naiwny chłopak dał się i na tak zwykłą wędkę złapać. Ratujmy go! Co ja jednak będę robił z dwiema szlachciankami cały tydzień?! — Wstąpił do księgarni, zakupując do czytania traktaty z socjologii i ekonomii politycznej.

Aby sobie skrócić pobyt na wsi, zabawił w Krakowie dzień cały, — zwiedził Wawel, Bibliotekę Jagiellońską, muzea; wieczorem był w teatrze, noc przespał spokojnie — i o jedenastej przed południem, żegnając Kraków, patrzył z okien wagonu na wieże Wawelu, kopiec Kosciuszki i wązką smugę Wisły.

Na pierwszej stacyi w Bierzanowie dostał za towarzysza czerstwego, uśmiechniętego sta-

ruszka, którego widocznie milczenie dręczyło; szukał sposobności do rozpoczęcia gawędki i znalazł ją. Zapomniał zapalek — Kazimierz pośpieszył mu podać swoje pudelko.

— Z kądże pan dobrodziej? — pytał, zapalając cygaro.

— Z Łęczyckiego, — odparł Kazimierz.

— Aż z Łęczyckiego — to u nas rarytas — bo wy tam zza Kordonu wolicie uciekać przez Berlin do Paryża, niż zwiedzić nasz stary Kraków, zajrzeć do Lwowa, przejechać się po Podolu. Już to za wschodem nie tęsknicie.

— Rzeczywiście nie tęsknimy — poświadczyl młody człowiek z przyciskiem.

— I macie rację. A daleko — jeśli wolno?

— Do Zalesia, w Jasielskiem. Podobno miła do Jasła.

Staruszek się uśmiechnął.

— No teraz to się nie dziwię pańskiej podróży po szlakach galicyjskich.

— Dlaczego?

— Wszak mam przyjemność mówić z panem Jaworowskim?

— Tak jest, — pochwycił Kazimierz mocno zdziwiony.

— Jestem Tomaszewski — odparł staruszek, wyciągając rękę.

Uścisnęli się. Przedstawienie się atoli staruszka nie rozjaśniło Kazimierzowi zagadki: z kądemógł go znać.

— Intryguję pana, prawda, — zapytał, uśmiechając się.

— Istotnie — odpowiedział.

— A więc powiem panu wszystko. Sąsiadka nasza tylko co wróciła z Krynicy — i opowiadała nam, że młody i przystojny obywatel z Łęczyckiego oświadczył się o Zosię, moją wielką faworytkę. Pan jesteś z Łęczyckiego i jedziesz do Zalesia; nie potrzeba więc było wielkiej domysłności. Cieszę się, serdecznie się cieszę, i zarazem wieszczę. Jesteś pan szlachetnym.

Kazimierz, zarumieniony, usiłował się bronić.

— Cenię twoją skromność — mówił dalej staruszek — lecz powtarzam, że musisz być, nie tylko zacnym, lecz i rozumnym młodzieńcem, a to dla tego, że, sam będąc majątnym, nie szukasz posagu. To też wygrałeś wielki los, biorąc dziewczkę z tak poczciwego domu.

— Pan dobrodziej zna dziedziczki Zalesia? — zapytał młody człowiek, chcąc odwrócić od siebie rozmowę.

— Czy je znam? A przecież matka Zosi, to moja najbliższa przez lat dwadzieścia sąsiadka. — Zosię nosiłem na rękach; s. p. pan Karol,

ojciec Zosi, był moim przyjacielem. Syna jego, Stasia, trzymałem do chrztu, Marynię, siostrę Zosi, przeszłego roku odwoziłem na pensję do Krakowa. — Po śmierci żony, będzie temu lat trzy, sprzedałem majątek i przeniósłem się do dzieci w Wielickie. Mówię ci, że drugiej szlachetniejszej rodziny nie znajdziesz w Galicyi.

Staruszek się ożywił; Kazimierz poważniał i smutniał.

— Wygrałeś wielki los, — powtórzył, — robiąc tak szczęśliwy wybór, bo to nie posag daje szczęście a ze szczęściem majątek, ale osoba. Osobę należy szacować — i oszacowawszy Zosię, mówię ci, że bierzesz milion posagu.

Młody człowiek chciał wyjaśnić sytuację, lecz staruszek nie dał mu przyjsć do słowa.

— Z panią Karolową — mówił z zapalem — tańczyłem na balach w Krakowie, gdy była jeszcze panną — a wierzaj mi, królowała zawsze...

Bo też to była piękność! Od Karpatów do Wisły, od Krakowa po Rzeszów nie znalazłbys piękniejszej. Co za słodycz, co za uśmiech. Zosia do niej podobna, ale już to nie to. Ładna jest, ale już to nie to. Zresztą co piękność znaczy przy przymiotach duszy! A na tym punkcie matka z córką rywalizują: poświęcenie, gotowość do usług i ofiar; sam się przekonasz

I jakże miał w takich warunkach majątek się rozwijać, tem więcej, że pan Karol zostawił interesa? No, ale się przecie znalazł szlachetny człowiek, który w samą porę wchodzi do tej zacnej rodziny z kapitałami. — Staruszek po raz drugi wyciągnął rękę do Kazimierza. — Ponieważ my tu, prawie wszyscy obywatele Galicyi Zachodniej, znamy rodzinę pańskiej narzeczonej i wysoko ją cenimy — a zatem i pana witamy, jak brata — ja zaś specjalnie, jak syna. Masz pan nasz szacunek i sympatyę.

Lokomotywaświsnęła raz, drugi, pociągzwalniał — staruszek zaczął zbierać manatki i wyglądać z wagonu.

— Jadę do Bochni, na termin, jako pełnomocnik mego zięcia. Należy przecie starać się, aby i na starość coś robić i być użytecznym, jeżeli nie krajowi, to rodzinie. Kochany pan pewno to wybornie rozumiesz.

— Bochnia — pięć minut, — zawołał konduktor — otworzył drzwi wagonu; staruszek raz jeszcze uściskał towarzysza i wysiadł.

Kazimierz patrzył za nim, póki nie znikł na skrócie, poczem drzwi zatrzasnął, nasunął brwi i siadł zły i chmurny.

Starzec mu złamał szyki. Znana i sza-

nowana rodzina w całej Zachodniej Galicyi! I jak tu zrywać bez żadnego, wyraźnego powodu!

— A to sentymentalny student z tego Władka! — zawołał zirytowany, zerwał się i zaczął chodzić jak lew w klatce. Pociąg ruszył i zmusił go do zajęcia miejsca.

— Majątek podszarpały na ofiary i miłosierdzie! — rozśmiał się sucho, wzruszając ramionami. — Podług pierwszych zasad nauki, a nawet wobec samej logiki — cóż zrobiły? Zdemoralizowały jałmużnami lud okoliczny i — jeszcze za to śpiewają im hymny uwielbienia! Zabawne to i śmieszne.

— Rachują na nasze kapitały, do wydobywania się z biedy, jedynie dla tego, aby znów mogły dogadzać próżności i, idącej z nią w parze dewocyi. Będą znowu rozrzucać pieniądze na protegowanie lenistwa ludu i podtrzymywanie w nim żebractwa.

Na stacyi w Bogumiłowicach wsiadły do wagonu trzy panie. Jedna z nich, czterdziestoletnia, dwie o wiele młodsze. Z całego zachowania się, widać było, że należą do dobrego towarzystwa, są rozumne i dystygowane. Kazimierz, rozdrażniony, nierad nowym przybyszkom, wsunął się w sam róg wagonu, podparł głowę na rękę i zaczął udawać, że drzemie.

Z toku rozmowy poznał, że sąsiadki jego, wracając z wód, spotkały się na stacyi.

— A więc, to już zdecydowane, moja Iziu, że Zosia idzie za męża? — spytała się starsza najmłodszej z pań.

Kazimierz mimowoli się wzdrygnął: widocznie fatalizm go prześladował.

— Ależ najzupełniej, — widywałyśmy się codziennie z Zosią w Krynicy, poznałyśmy jej narzeczonego.

— Coż to za jeden?

— Obywatel z Królestwa, bardzo przystojny blondyn, — prawda ciociu?

— Prawda, — potwierdziła ciocia. — Oczy niebieskie duże, wysoki, zgrabny i mówią powszechnie, że bogaty. Boję się jednak, czy to przyjdzie do skutku. Królewiaci mają, niestety, opinię bałamutów i błagierów, dodała ciszej.

— Zerwanie byłoby niktzemnością, — zawołała z entuzjazmem Iza. — Tem więcej, że Zosia powinna być ideałem wszystkich szlachetnych ludzi. Moja ciociu, nie można przypuszczać, aby młody człowiek ze stanowiskiem i honorem mógł sam na siebie tak straszny wyrok wydawać.

Kazimierz czuł, jak blade jego zwykle policzki okrywają się ponsem.

Być może, że panie zobaczyły rumieńce na twarzy młodego człowieka, gdyż nagle umilkły na chwilę, prowadząc dalszą rozmowę szeptem. I pomimo, że młody człowiek wyteżał słuch, dolatywały go zaledwie urywane wyrazy.

Zdawało mu się jednak, że słyszy wymawiane swoje nazwisko, że oczy pań są zwrócone na niego. Nie śmiał ałoli, pomimo pozytywizmu, spojrzeć.

Nie znał swych towarzyszek, a przedstawiać się i wywoływać dyskusję, — byłoby śmiesznością.

Otóż i Tarnów! — ktoś zawołał z drugiego przedziału; — w wagonie zrobił się ruch, panie powstały, młody człowiek oczy roztworzył, spojrział i zobaczył uśmiechy sympatyczne, lecz znaczące na ich ustach.

Pociąg powoli zatoczył się przed stacją; do drzwiczek przybiegł służący w liberyi, zabierając torebki i szale dam. Obejście się ich wytworne, chociaż pełne prostoty, zniewoliło Kazimierza. Wysiadł z wagonu, dla zrobienia miejsca. Przy rozstaniu mimowoli pochylił głowę.

Ciocia pojechała do miasta, dwie młodsze wsiadły do powozu, zaprzęzonego czwórką roślonych koni. Kazimierz zajął miejsce w tarnow-

skiej dorożce, a gdy mijał powóz, młode kobiety przypatrywały mu się ciekawie.

— Nie wiesz, z kąd są te panie? — spytał młodego chłopaka siedzącego na koźle dorożki.

— Dokumentnie nie wiem, proszę wielmożnego pana, — odpowiedział, lecz słyszałem, jak lokaj mówił do jednego z panów, co oglądał konie, że zpod samego Jasła.

— Teraz się dopiero przekonuję, jakie Władek zrobił kolosalne głupstwo, — zawołał, mierząc szerokimi krokami pokój hotelu. Nauczyliśmy się lekceważyć Galicyę, uważać ją za pół dziką, a tymczasem omyliliśmy się. Bo też sami Galicyanie obgadują się, bez miłosierdzia, a za to my w Królestwie palimy sobie kadzidła wzajemnej admiracyi. Byłem pewny, że wszystko łatwo się ułoży, że odległość kilkudziesięciu mil będzie przepaścią między Władkiem a Zalesiem; czuję jednak, że omylił. Podobieństwo moje do Władzia uderzające, — zdradziłem się rumieńcami, i pewno te panie, które były w Krynicy, odgadły we mnie brata. Jużto rumień się, jak student. — Gdybym przeczuł, jakie mnie czekają trudności, nie pojechałbym. — Mimo to, Władka zostawić samego, niepodobna. Ile to on już głupstw narobił swoim sentymentalizmem! Niech co chcą mówią idealisci i ro-

mantycy, niech to nazywają zbrodnią i nieczemnością: młody człowiek nie może większego głupstwa zrobić, gdy zamierza żenić się bez zastanowienia i planu na przyszłość.

Pomimo tych deklamacyi uczuł pewien wstyd nurtujący mu w sercu. — „To byłoby nieczemnie“, świdrowało mu w mózgu, chociaż usiłował zagłuszyć je sarkazmem i głośno wypowiedzianymi teoryjami.

Odpocząwszy, najął powóz i parę dobrych koni. Na wierzchu kuferka swego przygotował ubranie wizytowe, i nie bez bicia serca wyruszył murowanym gościńcem na Jasło do Zalesia.

Na pierwszym popasie dogonił dwie młode znajome z wagonu. Na ich widok zmieszal się — jedna z nich, mianowicie ta, która była z ciotką w Krynicy, pokraśniała, i chcąc ukryć rumieńce, szybko się zwróciła ku oknu.

— Może przeskadzam paniom, — odezwał się młody człowiek, mając się do odwrotu.

— Ależ nie! — jest to jedyny w tym zajęzdzie pokój gościnny, masz więc pan do niego równe z nami prawo, — odpowiedziała pierwsza z młodych pań.

Tymczasem druga miała czas ochłonąć. Odeszła od okna i z uśmiechem wskazała ręką krzesło, stojące przy stole.

— Panie pozwolą przedstawić się. — Jestem Kazimierz Jaworowski, — rzekł z ukłonem, zdradzającym dobre towarzystwo.

— Nie możemy pana zostawić bez odpowiedzi, — odparła starsza, gdy młodszej, na błądą twarz wystąpił powtórnie rumieniec. — Imię moje Marya — nazwisko Odolińska; kuzynka moja Iza Drzewiecka — stanowiska nasze: blizkie sąsiadki pań z Zalesia i ich serdeczne przyjaciółki.

Kazimierz zdjął pośpiesznie palto, rzucił je na krzesło przy drzwiach, — i zbliżył się do stołu, za którym, na kanapie, siedziała Marya.

— Brata pańskiego poznałam w Krynicy, — rzekła Iza.

— I dla tego to tak ściśle oznaczyłyśmy nasze stanowiska, — co i dla pana nie powinno być bez interesu.

Kazimierz schylił głowę, z uśmiechem lekkiej ironii.

— Łaskę pań, winien jestem zaszczytowi, jaki spotkał mego brata.

— Raczej, chciałeś pan powiedzieć, dobrodziejstwu. Na innych polach macie panowie do zdobycia sławę i zaszczyty; dobrodziejstwa odbieracie z rąk naszych.

— Może je pani raczy bliżej określić.

— Szczęście w pożyciu, przyszłości waszej...

— Przyszłość nasza jest w rękach pań?

— Przyszłość mężów jest w rękach żon — to chciałam powiedzieć.

— Więc mężczyzna zostający mężem przestaje być sobą? Żona ma urabiać jego przyszłość, wskazywać mu drogi — kierować jego krokami?

— Jeżeli mężczyzna chce wytrwać w obranym kierunku pracy i osiągnąć cel — dużo, a może i wszystko, zawdzięczać będzie żonie.

— Sam zaś?

— Nie mówimy o samotnikach, lecz o mężach, — przerwała pani Marya.

— O mężach zmienionych w niewolników.

— Wtedy przestają być mężami. Cóż jest do powiedzenia o niewolnikach? Lepiej zajmować się ich panami.

— Mówmy więc o pannie Zofii.

— Zosia nie lubi niewoli i nie znosi niewolników.

— A jeżeli brata mego niestać by było na inną rolę w pożyciu małżeńskim?

— W takim razie najlepiejby było zerwać.

— Zerwać i narazić się na nazwę nikczemnika? — powiedział z patosem Kazimierz.

Obie młode kobiety zarumieniły się.

— Może to zrobić Zosia.

— A gdyby do tego kroku był zmuszonym mój brat?

— Słabszym tylko wolno ratować się w ten sposób.

— Któż tu słabszym?

Zawsze kobieta.

Kazimierz się uśmiechnął ironicznie.

— Kobieta — powtórzyła z mocą Marya — albowiem ona jest wybraną. Wybierający miał czas zastanowić się i poznać, nim się zdecydował.

— A kobieta?

— Mogła zaledwo radzić się swego instynktu, sympatii. Nam tylko zostaje przecucie; wolno nam odgadywać.

— Dziwne to i oryginalne — rzekła Iza poważnie. — Jedziesz pan poznać narzeczoną swego brata, i na wstępie znajomości przyjaciółek Zosi mówisz z entuzjazmem o zerwaniu.

— Ależ, moja droga, myśmy same tę kwestyę podjęły! Pan Kazimierz broni tylko stanowiska mężczyzn.

Lokaj wniósł na tacy maszynkę do kawy i garnuszki ze śmietanką.

— Niechaj nas kawa pogodzi, na którą i pana zapraszamy.

— W karczmie galicyjskiej tak świetna zastawa — zrobił uwagę Kazimierz.

— Mieszkańki okolic Jasła starają się być praktycznymi i przezornymi. Dzięki temu nie zajedziesz pan głodnym do Zalesia.

Kazimierz się skłonił.

— Jest to wielki przymiot — rzekł — naszego wieku.

— I Zosia przy swym idealizmie umie być praktyczną — pochwyliła Iza.

— Umieć pogodzić te dwie sprzeczności: rzecz arcy-trudna.

— Bo też Zosia należy do wyjątków.

— Panna Zofia jest uwielbianą przez panie.

— Koleżanka Izy — dodała Marya — a moja sąsiadka, dobra i serdeczna.

Zajechał powóz i najęte konie Kazimierza.

— Jeżeli się pan z nami nie nudzisz, siadaj pan. Półtory mili pojedziemy razem. Zyskasz pan jeszcze tyle, że służący mój wskaże woźnicy pańskiemu najbliższą drogę do Zalesia.

— Chociaż blizkie sąsiadki, nie jedziecie panie w tamte strony?

— Wstąpimy do Jasła zabrać mego męża. Czeka nas i pewno wyjdzie daleko na nasze spotkanie.

Kazimierz rad przyjął zaproszenie. Maryę

uważał za rozumną i sprytną. Iza była ładną i choć zdawało mu się, że jest sentymentalną, przebaczał jej ten w jego oczach grzech, dla piękności; zajął miejsce naprzeciw Maryi. Powóz wytoczył się z bramy zajazdu, na bitą, równą drogę; konie, parskając, biegły z fantazyą; a również i gawędka przeplatana dowcipem, swobodnie płynęła. Półtory mili minęło szybko, jak serdeczny uśmiech. Powóz się zatrzymał.

— Oto droga do Zalesia. — Przed zachodem słońca powinienes pan stanąć na miejscu. Oby się panu Zosia przedstawiła tak, jak nam zawsze — rzekła Marya.

— Radzę się strzedz — rzekła Iza.

— A gdybym się nie ustrzegł?

— Byłaby to zdrada.

— A prawa serca, w które pani tak wierzy? — mówił wesoło Kazimierz.

— Serce powinno milczeć, ze względu na brata.

— Dziękuję pani, za pamięć o bracie; o mnie, proszę być spokojną.

— Są niebezpieczeństwa — ostrzegam.

— Czy mi wolno powiedzieć paniom do widzenia?

— Z pewnością, jeżeli pan ze dwa tygodnie zabawisz w Zalesiu.

— Aż dwa tygodnie!

— Nie wyrzekaj się pan — odrzekła Iza.

— Może i wcześniej, jeżeli nasze sąsiadki zdecydują się odwiedzić nas i zabrać pana z sobą.

Słowom tym towarzyszyły wdzięczne uśmiechy i uściśnienia rąk.

— Paniom w Zalesiu serdeczne ukłony.

— Nie zapomnij pan powiedzieć Zosi, że radabym ją jaknajprędzej widzieć. Tyle mamy sobie do powiedzenia!

Turkot kół zagłuszył wyrazy przyjemnego dziewczęcia.

— Sympatyczny, i zdaje się sprytny człowiek, a można śmiało dodać, że wykształcony. Jeżeli narzeczony jest podobnym do swego brata, to Zosia dobry wybór zrobiła.

— Władysław, moja Maryllo, łagodniejszy od Kazimierza, więcej uczuciowy, niema sarkazmu swego brata a może i cynizmu: lecz za to, powiem ci prawdę, Kazimierz sympatyczniejszy — odpowiedziała siostrze Iza.

— Okolice Jasła nie są tak dzikie, jak sądziłem — rozmyślał Kazimierz, siedząc w dorożce. Cóż to będzie, gdy zobaczę ideał tych przyjemnych i serdecznych kobiet! Rozśmiał się szyderczo, a jednak smutno mu było na sercu.

Przeprawa będzie ciężka i jak z niej wybrnę, nie mam pojęcia! Cierpliwości! Lecz ja czasu nie mam na cierpliwość i długie przewlekanie sprawy, która się skończyć powinna w dwie godziny.

Widocznie fałszywa przyczyna drażniła go i gniewała.

— Panie! — zdaje mi się, że to Zalesie — odezwał się woźnica, pokazując ręką dwa białe kominy, wyglądające z zieleni drzew i krzewów.

— Zajedź przed karczmę; dowiemy się.

Chłopak zaciął konie.

— Daleko do Zalesia? — spytał Kazimierz, siedzącego przed karczmą gospodarza.

— A przecież jesteście w Zalesiu — odpowiedział nieco urażony, siwawy, dobrze zbudowany chłop.

— Jadę zdaleka — rzekł serdecznie Kazimierz i prosił was, pokażcie mi drogę do dworu.

— O, to pewno panicz z Warszawy — zawołał, zdejmując czapkę. — Zabierzesz nam panienkę!...

— Bodajbyś nie przyjeżdżał — dodał — machnąwszy rozpaczliwie ręką.

— Tak żałujecie panienki?

— Bo pewno, osierocieje bez niej matka i cała wieś. Chociem biedny człowiek, dałbym

dziesięć papierków za to ino, aby z nami ostała.
Do dworu droga sama zaprowadzi — i jedźcie
kiej już taka Boża wola.

— Dziękuję wam.

— Z Panem Bogiem.

Konie ruszyły z miejsca.

— Widocznie nie są mi radzi. I jeżeli
podobnego przyjęcia doznam we dworze, sprawa
moja prędko załatwioną będzie.

Wszedłszy, spostrzegł maszynę do szycia, zaczęta robótkę i rozłożoną na stole książkę. Pehnięty ciekawością, wziął w rękę książkę i przeczytał:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg...
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się ludzka dusza rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!

III.

Za ciemną olszyną, za aleją z topoli i brzóz, mając duży zielony trawnik przed sobą, krył się dwór z ciosanego drzewa. Liście winogrodu pięły się na szczyt wystawy, spadając zielonemi smugami na białe słupy podtrzymujące ganek. Zachodzące słońce złościło olszynę, ciemne świerki i czerwone liście winogrodu. Cisza jesiennego wieczora wypełniała świat. Dwór w tej ciszy stał jak zakłęty. Z otwartych drzwi i okien wychylał się tajemniczy mrok.

Kazimierz wyskoczył, stanął na kamiennych schodach i obejrzał się.

— Niech-no się pan nie boi i idzie naprzód, a może jaką żywą duszę napotka — odezwał się chłopak z kozła dorożki.

Młody człowiek widocznie usłuchał rady: wszedł na ganek, chłopak zaciął konie i odjechał do stajni.

Uśmiechnął się litościwie, a że mało się zajmował poezją, spojrział na tytułową kartę:

— „Poezye El-y, tom trzeci“, wyszły w tym samym roku, i już są w Zalesiu! Uśmiechnął się poraz drugi, lecz tym razem uśmiech jego odznaczał więcej zdziwienia niż litości. Położył książkę, słuchał. Komary tylko, zbite w ślup, nad krzakiem jaśminu brzęczały. Zdecydował się wejść do pokoju. Zdjął kapelusz i palto, poprawił ręką włosy, przybrał uroczystą minę.

W szarym mroku zaszeleściła sukienka, na progu ukazała się młoda dziewczyna — bujne blond włosy, duże niebieskie oczy i uśmiech serdeczny na ustach. Miała na sobie białą przezroczystą chusteczkę, przewiazaną na biodrach. — Staęła. —

— Kazimierz Jaworowski — odezwał się młody człowiek, pochylając głowę.

Zosia lekko drgnęła, wyciągając rękę.

— Z opowiadań pana Władysława, poznałam pana odrazu.

Kazimierz, ściskając podaną rękę, skłonił się.

— Nikogo pan nie zastałeś. Musiało się panu wydawać, że jesteś w zaczarowanym dworze. Lecz dziś u nas wielka uroczystość wyprowadziła wszystkich z domu.

— Uroczystość?—pochwycił p. Kazimierz.

— Pojmuję pańskie zdziwienie. Uroczystość odbywa się w ogrodzie. Jabłkobraniem—wina nie mamy, a do grzybobrania brak nam Telimeny, Tadeusza, Wojskiego...

— Lecz jest Zosia—rzekł Kazimierz.

— Nie taka, nie taka — nareszcie niema hrabiego, któryby ją brał za czarodziejkę, lub królowę. Czasy romantyzmu minęły, skały Birbanterocco zapadły się pod ziemię.—Prawda?—dodała z uśmiechem. — Idąc z duchem czasu, zapytuję pana, czyś nie głodny?

— Piłem przed godziną kawę, z serdecznościami przyjaciółkami pani.

Z Marynią i Izą—zawołała żywo Zosia.

Kazimierz skłonił głowę na znak potwierdzenia.

— Zazdroszczę panu.

— I ja również zazdroszczę pani tak miłych sąsiadek.

— Na wstępie poznania zaczynamy zazdrościć sobie wzajemnie: to troszkę dziwne.

— To już dobrze, że mamy czego zazdrościć.

— Najlepiej nie zazdrośmy sobie nigdy i niczego—odparła swobodnie. A ponieważ pan nie jesteś głodny, chodźmy do mamy. Pomóżesz nam pan zbierać jabłka. Po cóż czas marnować, który jest pieniądzem, a praca powinna być produkcyjną.—Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Czy pani wszystkich swych gości zapędza do pracy? — spytał Kazimierz, podając rękę Zosi.

— Idealistom daję pokój, oni pracują, marząc.—„Myślę, więc jestem“—przypominasz pan sobie. Inna zaś rzecz z realistami: tym należy dawać sposobność zastosowania swych zasad wszędzie i zawsze.

Kazimierz nie miał czasu odpowiedzieć, byli już w ogrodzie, zbliżając się do wielkiej jabłoni, pod którą stała niemłoda już, o siwiejących włosach, kobieta. Uśmiech jej, oczy i delikatnie wyrzeźbione rysy, mówiły o jej niedawno minionej piękności. Łagodny smutek, rozlany na twarzy, dodawał jej uroku. Zosia zaledwo

przypominała matkę, lekkim, oddalonym podobieństwem.

— Mamo, pan Kazimierz zjawił się na ganku naszego dworu, jak duch Banka. O mało co nie krzyknęłam ze strachu.

— Miło mi poznać brata pana Władysława.

— Starszego, mateczko — głowę rodziny, opiekuna.

— I dlatego-to powinnaś być trochę poważniejszą — zrobiła uwagę matka.

— Mogłabym przerazić głowę rodziny swą surowością. Możebym się wydała panu Kazimierzowi sztywną, jak prezbiterka szkocka, lub nieśmiałą, jak mieszkanka gór—za światem.

— Do gór daleko—rzekł Kazimierz.—Dziękuję pani, że mi pozwalasz zachwycać się tą swobodą...

— Moja Zosiu, zostałaś ukaraną. Strzeż się wywoływać komplementa.

Zosia zrobiła poważną minę, spojrzała na Kazimierza i po chwili powiedziała cicho, lecz dobitnie:

— Wesolość nie jest u mnie rzeczą powszednią, i jak ślimak różki, chowa je za lada powiewem nieprzyjemnego wiatru.

— Przepraszam — odparł Kazimierz z głębokim ukłonem, oznaczającym skruchę.

Spadło parę jabłek na ziemię.

— Bawiąc się, ponosimy straty. Patrz pan, jak piękne jabłka zmarnowane — zawołała Zosia.

— Hanusiu, gdzie jest mój koszyczek? Zabawę zostawmy idealistom, kontemplacye marzytelom. Panie Kazimierzu, racz mi podać spadłe jabłka; leżą tuż przy panu. Włóż je pan do koszyczka, tylko ostrożnie, aby się nie rozbiły.

Kazimierz wypełnił rozkaz.

— Jesteś pan gimnastykiem?

— Nie tak jeszcze dawno posiadałem w tym kierunku pewną sławę.

— Ach, jak to wybornie! Walenty, zejdz z drzewa, pan cię wyręczy.

— Zosiu—zawołała matka.

— A dlaczegożby nie — odparł, zsuwając się z drzewa Walenty. — Panicz, widzę, młody, to jak wiewiórka skoczy z gałęzi na gałąź, i nie obejrzy się, gdy dosięgnie wierzchołka. Dziękuję panusi, że przecie szanuje stare kości.

Kazimierz patrzył zdziwiony.

— Nie miałbyś pan odwagi?—spytała Zosia.

Młody człowiek schwył rękami gałąź, wytężył siły i w dwóch skokach był już na drzewie.

— Brawo, brawo!—oto koszyk, gdy będzie

pełny, podasz mi go pan na żerdce, aby nie upadł. Tylko produkcyjna praca ma rację bytu.

— Moje dziecko, zapomniałaś o prawach gościnności—przerwała zapał dziewczęcia matka.

— Właśnie w imię tych praw dałam p. Kazimierzowi sposobność wprowadzać w czyn jego zasady.

— Dziękuję pani — odpowiedział wesoło Kazimierz, obrywając jabłka.

— Inaczej nudziłby się, żałowałby zmarnowanego czasu...

— Lecz, aby praca mogła być produkcyjną, musi być wynagrodzoną — zrobiła uwagę matka.

— A kolacya, którą dziś dostanie, a jutro śniadanie i obiad...

Kazimierz się rozśmiał, uśmiechnęła się i pani domu, a za nimi służba.

— Panicz musi zapracować — odezwał się Walenty — i niech panienka nie folguje, bo my tu próżniaków nie lubimy.

— Panie Kazimierzu, proszę cię, zejdź — wołała matka Zosi.

— Nie mogę—odparł Kazimierz, nie mam ochoty być głodnym.

— To przynajmniej trzymaj się pan mocno, bo o nieszczęście nie trudno.

— Nic mu nie będzie — rzekł cicho Walenty.

— Walenty wielką ma wiarę w zręczność pańską — zawołała Zosia, podnosząc w górę głowę.

— I nie zawiedzie się — odparł młody człowiek w dobrym humorze, że miał sposobność pokazać swą siłę i zręczność.

Koszyki, pełne jabłek, zawieszono na żerdce, kierowanej ręką Kazimierza, zsuwały się na dół. Zosia wychwalała zręczność młodzieńca, obfitość jabłek i pośpiech w pracy.

Słońce na pożegnanie ozłociło góry na zachodzie, rzucając na ziemię blaski purpury i złota. Powietrze stało się przezroczystem; szafir, przetykany złotem i purpurą, wypełnił świat. Biała chusteczka na ramionach Zosi rumieniła się, udzielając swych barw bladej jej twarzy; szafir stroił ją w skrzydła, a że, zaplótłszy palce, wyciągnęła ręce i głowę podniosła w górę, podobną była do posągu, tak ją stroiły fantastyczne światła naszej jesieni.

Wezwany przez mamę dwukrotnie, Kazimierz, prosił Zosi o pozwolenie zejścia z drze-

wa. Otrzymawszy je, zsunął się szybko i zręcznie na ziemię.

— Jakaż to cudowna nasza polska jesień!

— Panie dostajecie skrzydeł, wyglądacie jak posągi lub święte; — dokończył zdania pani domu młody człowiek.

— Powinieneś się pan na nią gniewać — rzekła Zosia — gdyż obowiązkiem naszym widzieć rzeczy tak, jak są.

— A mimo to, jesteśmy pod wrażeniem złudzeń naszego wzroku.

— Pan mówisz o złudzeniach w obec krytyki czystego rozumu? — „za wzrokiem poszła dusza“ — mógł tylko powiedzieć taki marzyciel, jak Słowacki.

— Pan Władysław odmalował pański pozytywizm przed Zosią w ciemnych kolorach.

— Przepraszam mamę — w jasnych.

— Byłbym mu wdzięcznym, gdyby malował w prawdziwych barwach.

— Czy naprawdę jesteś pan zwolennikiem tych zasad? — spytała mama.

— Najzupełniej.

— Często panowie lubicie się przedstawiać gorszymi, aniżeli jesteście.

— Ależ, mamó, pan Kazimierz pozytywizm ocenia jako filozofię, godną uwielbienia i zasto-

sowania w życiu. Dla idealistów takich, jak mama, żywi w sercu zaledwie współczucie lub nawet litość.

— Powiedziałaś pani: takich idealistów jak mama, a zatem pani nie jesteś idealistką?...

— Ja podzielałam zdanie pana, i często z tego powodu miałam starcia z panem Władysławem.

— Zwyczajnie: dla wywołania dyskusji. Często lubi drażnić i dokuczać tym, którzy ją kochają.

— Droga mamó, ja-bym zaś powiedziała, że mama lubi przedewszystkiem własną córkę oskarżać. — Zwróciła się do Kazimierza — Tłómaczę jednak mamę tem, że poza idealizmem widzi tylko noc egoizmu i najgorsze skłonności; woli więc córkę przedstawić jako despotkę, tyranizującą ludzi, aniżeli przyznać, jaką istotnie jest.

— Czemże pani jesteś?

— Pozytywistką.

— Dziecko jesteś — rzekła nieco przestraszona matka.

— Być może, moja mamó, że jestem dzieckiem, ale pozytywnem.

Kazimierz rozśmiał się serdecznie, przez

co również wywołał uśmiech na usta pani domu.

Weszli na ganek.

— Mówisz pani — odezwał się młody człowiek — że jesteś pozytywistką, a jednak, gdy wszedł na ganek, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były poezye—przykrywały robótkę.

— Prawda—poświadczyła matka.

— Ależ to są poezye Ely'ego, trzeci tom.

— Więc cóż ztąd?

— Jakto, więc cóż ztąd? Czyż pan nie wiesz, że El-y jest pozytywistą takim, jak pan i ja?

— Pozytywizm w poezyi?

— Dlaczegożby nie? Każda epoka ma swoich przedstawicieli. El-y już-by dziś nie pisał:

„Altano mego szczęścia, kolebko i grobie“.

Wydeklamowała z patosem i rozśmiała się wesolo. Dziś wygląda to nieco zabawnie, dla nas pozytywistów. Nie jesteśmy zdolni rozczuć się altaną, która była kolebką naszego szczęścia i grobem;—gdy mama, będąc romantyczką w moim wieku, płakała nad tym ustępem.— Mówiąc to, pocałowała matkę w czoło.

Oj, trzpiotko ty, trzpiotko — były to czasy

o wiele wyższe, wznioślejsze i lepsze. Dziś, cóż was zdolne jest rozczulić?—mówiła matka.

— Posłuchaj pan—rzekła poważnie Zosia—biorąc książkę do ręki:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg..
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się ludzka dusza rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Chociaż strząśnicie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłą urojeń zedrzenie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

— Oto jest mój pozytywizm! Jest on szlachetny i dobry; gdy skrajni pozytywiści, raddzi-by z bezwzględnością odciąć toporem przeszłość, sądząc, że można przepołowić życie narodu.

— Ależ pani, pozytywizm nic nie przepoławia jest to teoria...

— Którą wielu zwolenników pragnie wcielić w życie — i w zastosowaniu popełniają dużo rzeczy niewłaściwych, a często śmiesznych.

— Jak na przykład ty, każąc naszemu gościowi zrywać jabłka—dokończyła matka.

— Mniejsza o jabłka, moja mamó, lecz gość może nam powiedzieć, że miłość i poświęcenie są to sprawy nerwów lub zboczenia umysłu.

— Zosiu, jesteś niegrzeczna w swoim domu dla brata p. Władysława.

— Panna Zofia objawia swoje opinie o nauce, która jest zbyt młodą.

— To raczej ja—rzekła Zosia.

— Tym razem, nauka—i dlatego, jest tak różnie tłumaczoną.

Weszli do oświeconego saloniku. — Zosia, idąc za matką, deklamowała półgłosem:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych nieodkrytych dróg...

Na stoliku, przed kanapą, leżało kilkanaście książek porozrzucanych; chcąc powiedzieć komplement dla Zosi, dodają w artystycznym nieładzie.

Zosia wsunęła się w fotel i zamyśliła głęboko. Można było na jej czole dostrzedz pracę myśli. Oczy jej przez otwarte okno patrzyły w błękit osrebrzony gwiazdami. Matka tymczasem zabawiała gościa, usiłując wzrokiem zelektryzować córkę, oprzytomnić i myśli jej sprowadzić z błękitów do salonu. Kazimierz, od czasu do czasu rzucał ciekawe spojrzenia na młodą o-

sobę, która jednocześnie umiała być wesołą, dowcipną i poważną, a w każdym razie zdradzała wiele rozumu i stanowczości.

Służący wezwał do kolacyi; młodzieniec podał rękę mamie. W pokoju jadalnym trzy tylko były nakrycia.

— Słyszałem, że pani ma brata i siostrę — zwrócił rozmowę do Zosi.

— A mimo to, jestem w domu jedynaczką. Siostra kończy pensję w Krakowie, Staś słucha prawa—wczoraj odjechał.

— Gdybym wiedziała, że będziemy mieli tak serdecznego gościa,—dodała matka—zatrzymałabym go jeszcze dni parę.

Kazimierz pochylił głowę na znak podziękowania.

Rozmowa potoczyła się gościńcem codziennych spraw ludzkich. Kazimierz zaczął opowiadać o Warszawie, z pewną namiętnością Królewską, wierzącego, że po Paryżu najprzyjemniejszą jest jego stolica, nazywana powszechnie kochanym miasteczkiem.

Ze względu na znużenie gościa, zmęczenie gospodarstwem pani domu — powstano, aby się rozejść—tem więcej, że Zosia chciała pisać listy do swych przyjaciółek, Maryni i Izy.

Kazimierz znalazł się w obszernym i dobrze umeblowanym pokoju w oficynie. Odprawił służącego, zapalił cygaro, siadł na kanapie i zamyślił się. Zerwał się jednak za chwilę.

— A to mnie urządzili, kochany braciszek i luby wujcio! Bawią się w Warszawie, na pocieszenie grają, u Stępka spijają wyborne wina a mnie każą rozgrzeszać Władka z jego głupstw! Ależ to nie dla niego żona!—zawołał po długim namyśle. Sprytna, dowcipna, sentymentalizmu ani na lekarstwo! I rozumniejsza od niego dziesięć razy. Jak-by on przy niej wyglądał?... Ani razu nie wspomniała o nim, — widziałem zamyslenie na jej twarzy i wydało mi się oro walką. — Czyżby go nie kochała? — Pomimo całej wiary, jaką mam do ludzi, niepodobna przypuścić, aby tego rodzaju dziewczyna, co Zosia, mogła oddać rękę człowiekowi, którego nie lubi, jedynie dlatego, że ma majątek, tem więcej, że nie widzę w tym domu niedostatku, jak również, aby Zosia była terroryzowaną, aby jej w domu źle było.

Władek jest przystojny — jest bardzo przystojny — i to mi tłómaczy zagadkę, dlaczego Zosia idzie za niego.

Oj, kobiety, kobiety — zawołał i spać się położył, rad z odkrycia tajemnicy.

IV.

Nazajutrz zerwał się dość wcześnie. Mgła tuliła się do drzew i zielonych trawników, kryjąc się przed słońcem. Ranek przypominał wiosnę; ciepły, letni wiatr zrywał się z południa, goniąc mgłę i szeleszcząc liśćmi; wróble zwoływały się na sejmik, pełen gwaru i klótni; na płocie sroka skrzęczała wesoło, a kiedy niekiedy wrony, jak gońce, szybując w powietrzu, zakrakały złowrogo.

Młody człowiek ubrał się prędko, wdział rękawiczki, kapelusze i wybiegł zaciekawiony.

Przy klombach kwiatów zobaczył Zosię.

— Tak wcześnie!

— Dzień dobry — mówiła wesoło dziewczyna — czekam na pana z kawą; a nie chcąc czasu tracić, zaczęłam nasiona zbierać. Chodźmy na ganek!—podała mu rękę. Mama w polu przy siewie, zatem ja tylko będę panu towarzyszyć przy śniadaniu, a potem — do pracy.

— Boję się, abym pani nie przeszkadzał.

— Ależ pomagać mi pan musisz! a więc o przeszkodzie nie może być mowy. W każdym razie pomoc pańska musi być tajemnicą dla mamy, gdyż jeszcze dziś rano dostałam burę za pana.

— Za mnie?

— Za wczorajsze jabłka i wczorajszą dyskusję. Mama lubi przyjmować swych gości po staropolsku i w imię tej gościnności pytam się pana: jak mu smakuje kawa? Oto jest świeże masło, chleb, grzanki i umyślnie dla pana upieczone bułeczki.

— Kawa jest doskonała; bułeczki wyborne.

— Ciężar mi spadł z serca, gdyż ja dziś kawę robiłam. Niezawsze mi się, niestety, udaje; jestem często roztargnioną i mama na tem cierpi.

— Z powodu roztargnienia pani?

— Z powodu niedobrej kawy, a mama przepada za kawą.

— Jakaż mnie dziś praca czeka?

— Cierpliwości, bądźmy Anglikami i przy jedzeniu nie mówmy o przyszłych trudach i interesach. To tylko powiem, że boję się, czy nam czasu nie zbraknie.

Kazimierz pospiesznie wypił kawę.

— Jestem gotów—rzekł z powagą.

— Przepraszam pana, nie w tej myśli powiedziałam—i przykro mi...

— To mój zwyczaj szybko rozprawiać się ze śniadaniem.

— W takim razie, proszę pana zabrać te oto papierowe torebki.

— Wszystkie?

— Weźmy po pięć tymczasem. Chodźmy. Zeszli do klombów kwiatowych, otaczających ganek.

— Ja zbierać będę nasiona, a pan trzymaj rozwarte torebki, gdyż jestem pewna, że pan nie jesteś dość biegłym botanikiem i zbieraczem nasion.

— Czy ta nieudolność jest cechą pozytywistów?

— Nie, bo w takim razie i ja musiałabym nieznajomością zbierania nasion się odznaczać.

— Przepraszam — rzekł Kazimierz — zapominam, że mam koleżankę mych przekonau; zapominam, że do jednego bractwa należymy.

— Proszę otworzyć torebkę portulaków.

Kazimierz spełnił rozkaz, dziewczyna wspaniała różowemi paluszkami nasionka.

— Proszę o torebkę balsaminy, — a teraz rezedy.

Młody człowiek spełniał rozkazy w milczeniu.

— Brak nam czasu na rozmowę.

— Ważność zajęcia pochłania całą naszą uwagę—odparł Kazimierz.

— Praca jest pracą i każdy jej rodzaj szanować należy — rzekła Zosia z godnością. Mama co rok wydawała dwadzieścia pięć florenów na nasiona; dziś skutkiem mej interwencji wydaje tylko pięć. Proszę o torebki astrów i lewkonii.

— Czy cały dzisiejszy dzień poświęcimy astrom i lewkonii?

— Już się panu przykrzy... a to wybornie! Możebyś pan chciał zapalić cygaro, rozsiąść się wygodnie w fotelu i marzyć?

— Raczej rozmawiać swobodnie.

— O korzyściach pracy, walce o byt — i — realizmie w sztuce.

— O wszystkim, o czem pani każe. — Wybór tematu zostawiam pani samej.

— Nic z tego. — Chcąc zdobyć przyszłość, musimy być pracowitymi i praktycznymi, nie unosić się mrzonkami. Praca organiczna jest obecnie hasłem naszego społeczeństwa.

— A więc zbierajmy kwiatki — rzekł z odzieniem ironii Kazimierz.

— Pracujmy — to pan chciałeś wyrazić. Widzę jednak, że to zajęcie go nudzi.

— Nie mogę tego powiedzieć, będąc w towarzystwie pani.

— Pozytywista ratuje się najzwyczajniejszym komplementem.

— Czyż już nie wolno pozytywistom?

— Wiele więcej, niż zwyczajnym śmiertelnikom, lecz rzeczy te powinny być godnymi pozytywizmu. — Nareszcie. — Dostyc na dzisiaj — zawyrokowała — nasiona odniesiemy na przeznaczone miejsce i — dalej w drogę!

— Daleko? — spytał Kazimierz.

— Nie obawiaj się pan, nie zmęczysz się wielkim marszem.

W salonie stanęła przed lustrem, przypięła do włosów miesięczną różę i starała się włożyć nie bez pewnego wdzięku kapelusz na głowę.

Kazimierz przypatrywał się z uśmiechem.

— Jeżeli mnie, jako pozytywście, nie wolno komplementów...

— To mnie kokieterji.

— Nie tego wyrazu chciałem użyć.

— Mniejsza o wyraz, rozumiemy się, i dlatego dam panu jedną radę,

— Słucham.

— Nie wierz pan w kobietę bez pretensyi.

— Pod jakim względem?

— Pod każdym — kobieta bez pretensyi przestaje być kobietą. Może to być filozof, żołnierz, inżynier, ale nie kobieta. Mama dziś do śniadania włożyła czepeczek, w którym bardziej jest jej do twarzy, a pewno pan wierzysz, że nie miała zamiaru podobać się.

— Najzupełniej.

— Pozwól więc i mnie przypinać różę w tej samej tendencji.

— Czyli bez tendencji — dokończył Kazimierz.

— Nie powiem, żeby nie było tendencji — gdyż my zawsze pragniemy być, jeżeli nie pięknymi, to przynajmniej ładniejszymi, niż jesteśmy, i żadna pedagogia, w parze z pozytywizmem, nie oduczy nas tego.

— Oduczyć nie pragnie.

— Raczej nie ma odwagi.

Zosia zabrała ze sobą dużą oprawną książkę.

Wyszli.

— Może, aby nie tracić czasu, będziemy czytali przez drogę?

— Czas stracony na drogę wynagrodzimy sobie, ucząc dzieci historii polskiej.

— Pani zajmujesz się szkołą? — przy obecnych stosunkach w Galicyi, gdzie jest postawioną zasadą przymusowego nauczania, gdzie w każdej już gminie znajduje się szkoła i nauczyciel, gdzie są rady szkolne?

— Rodzice moi — mówiła Zosia poważnie — założyli szkołę o wiele wcześniej przed przymusowym nauczaniem. Dziś został budynek, ławki; a że w szkole niema nauczycielki, postanowiłam sama, przy pomocy naszej panny, uczyć dziewczynki szycia, haftu i innych ręcznych robótek. Przy tej sposobności, uczę ich historii polskiej — czytam powiastki...

Młodzieniec patrzył z żywym zajęciem na swą towarzyszkę.

— Wpatrujesz się pan we mnie, jakbyś chciał powiedzieć: — a pozytywizm.

— Przeciwnie, rad jestem...

— Że mnie pan możesz pochwyć na gorącym uczynku egzaltacyi. Otóż powiem panu prawdę, że do prowadzenia szkoły powoduje mną własny, dobrze zrozumiany interes.

— A więc egoizm.

— Niestety, jest on główną sprężyną poruszającą sprawy ludzkie. Łatwość zarobku, a z nią idąca zamożność i pewna ogląda naszych najbliższych sąsiadek — zgodzisz się pan na to, że są dobrymi środkami cywilizacyi, któ-

ra w rezultacie ochroni nasze pola od szkód, a nasze kieszenie od dawania jałmużny. Mam nadzieję, że i pan również podzielasz te opinie, iż stosunki z zamożnymi są przyjemniejsze aniżeli z biedakami.

— Najzupełniej.

— I że mogą być serdeczniejsze.

— Bez kwestyi.

— Tyle korzyści za dwie godziny pracy, i to nie przez cały rok! Czy i teraz jeszcze posiadzasz mnie pan o egzaltację?

— Szanuję panią — i młody człowiek wyciągnął rękę, serdecznie ściskając podaną.

Zosia rozśmiała się wesoło.

— Pozytywiści zaczynają się porozumiewać. — Gdy to jednak powiedziała, zarumieniła się sama, nie wiedząc dlaczego, i, chcąc ukryć rumieńce, pobięła naprzód otworzyć drzwi szkółki.

Na widok panienki i obcego pana dziewczynki powstały. Trzydziestoletnia panna zastępowała Zosię, robiąc na przywitanie wspaniałą dyg przed Kazimierzem.

Uczennice po kolei pokazywały swe robótki panience. Zosia chwaliła jedne, krytykowała drugie. Niektórym kazała spruć rozpoczęty haft,

oddając je pod wyłączny nadzór panny Weroniki.

Dla popisu przed gościem nastąpiły śpiewy, i Kazimierz mógł się przekonać, o ile głos panny Weroniki był wysoki i cienki, a pełny i świeży Zosi.

— Nie wiedziałem o muzycznym talencie pani. Brat mój nic mi nie wspomniał — szepnął Kazimierz.

Pierwszy raz wymówił głośno imię brata wobec Zosi.

— Nie miałam sposobności śpiewać w Krynicy. I ochoty — dodała po chwili, zamysłając się. Zamyślenie jednak trwało krótko; panna Weronika zwróciła się do niej, rozmawiając po cichu. Zosia spojrzała na zegarek.

— Panie Kazimierzu, musisz mi pan zrobić wielką łaskę — odezwała się do młodego człowieka.

— Rozkazuj pani.

— Zastąp mnie pan w wykładzie historii. Muszę iść z p. Weroniką, wydać na obiad, gdyż mama dotąd nie wróciła z pola. Walenty się niecierpliwi, a pan byłbyś głodnym.

— Kazesz mi więc pani zapracować na obiad?

— I zarazem wyręczyć mnie. Masz pan nareszcie wdzięczne pole, gdyż na dzisiejszą lekcję przypada panowanie Jana III. Wróć zabrać pana; proszę o cierpliwość. Do widzenia.—Podala mu rękę na pożegnanie, p. Weronika dygnęła.

Kazimierz został sam. Spojrzał na dziewczynki: te się uśmiechnęły. Młody człowiek zarumienił się; dziewczynki zaczęły się śmiać głośno.

— I z czego się śmiejecie? — odezwał się surowo, marszcząc brwi.

— Bo się im jakoś zdaje, że się panicz ich wstydzi — odezwała się najodważniejsza.

— Po czemżeście to poznały?

— Po czem? — powtórzyła — a po tem, że jak się panicz na nas spojrzeł, to pokraśniał.

— Ej co tam pleciesz, byle ino pleść! Panicz nie wstydzi się naszej panienki, a miałby się nas wstydzić — głupia! Tym wykrzyknikiem zakończyła swą uwagę najstarsza z dziewczynek.

Oryginalny ten rodzaj obrony wywołał uśmiech na usta młodego człowieka, a zarazem oswoił go z uczennicami. Siadł na katedrę, rozłożył książkę w miejscu, gdzie był opis panowania Sobieskiego—i zapytał:

— Która ma ochotę opowiedzieć dzisiejszą lekcję?

Dziesięć rąk podniosło się w górę.

Wybrał tę, która go tak dzielnie przed chwilą broniła.

Bohaterskie czyny króla Jana, opowiedziane były krótko, lecz treściwie. Powtórzyło je jeszcze kilka dziewczynek i zaczął się wykład dalszych losów naszej ojczyzny.

Improwizowany nauczyciel rozpalil się treścią swego przedmiotu—opowiadał z pewną namiętnością. Dziewczynki go słuchały z nawpół otwartymi ustami, i nie dziw, że ani mówca, ani uczennice nie słyszały uchylających się lekko drzwi, które jednak zatrzymane, zostawiły zaledwo dużą szparę, przez którą głos swobodnie mógł nazewnątrz wybiegać. Młody człowiek opowiadał; dziewczynki z natężoną uwagą słuchały, chociaż zaledwo połowę wykładu zrozumieć mogły.

— Skończył — obejrzał się i mocno zarumienił. W otwartych drzwiach stała Zosia.

— Brawo! Wybornie wywiązujesz się pan ze swego zadania. W nagrodę mianuję pana nadzwyczajnym profesorem historii polskiej w moim pensjonacie.

— Pani, obawiam się, czy ten zaszczyt nie spotkał mnie skutkiem protekcji.

— Zaszczyc zasłużony i zapracowany—odparła Zosia, a zwracając się do dziewczynek, dodała: — Jeżeli i jutro chcecie słuchać historii naszego narodu, tak ładnie opowiadanej — przyjdźcie wszystkie weześniej.

— Przyjdziemy, przyjdziemy—wołały, całując po kolei ręce Zosi.

— Obiad wydany, mama jeszcze nie wróciła i poczta nie przyszła—chodźmy, jeżeli masz pan ochotę, naprzeciwko mamy i poczty. Po pracy zasłużyłeś pan na odpoczynek, dzień przepyszny, babskie lato w całej pełni rozkwitu, — szczebiotała wesoło.

Młody pozytywista z radością przystał na propozycję, był nieco dumnym, że wykład jego zrobił wrażenie i rad z siebie.

— Chodźmy, chodźmy, nalegała Zosia.

— Tak niecierpliwie pani oczekujesz przybycia poczty?

— Zjawienie się jej jest dla nas zawsze uroczystością. Stosunki z rodziną i światem, mamy przez pośrednictwo poczty. Mama lubi pisać, utrzymuje więc liczną korespondencję z rodziną i znajomymi; ja mam parę przy-

jaciólek z pensyi, brata, siostrę — i nareszcie dzienniki, bez których obejść się nie mogę.

— Zajmujesz się pani polityką?

— Z zapalem — czyż można się nią nie zajmować?

— Często niepotrzebnie rozbudza nadzieje.

— Czyż można nie mieć nadziei?—spytała Zosia zdziwiona. I aby wreszcie nie mieć nadziei, mamy nic nie wiedzieć, zakopać się w Zalesiu, nie brać udziału, choćby duchem tylko, w życiu, w pracach narodu naszego i ludzkości?—mówiła z zapalem.

— Nie sądziłem, że pani tak poważnie i głęboko traktujesz czytanie gazet, — usprawiedliwiał się młody człowiek.

Lecz Zosia na obronę nie zwróciła uwagi. Spozregła zdaleka idącego posłańca, z przewieszoną torbą na plecach. Przyspieszyła kroku, wyęzając wzrok, gdyż zdawało jej się, że posłaniec dawał znaki.

— Ma listy, dużo ma listów; widzisz pan—wywija kapeluszem, trzymając go w ręku—biegnijmy.

— Czy to umówiony znak? — spytał Kazimierz.

— Który już w zwyczaj wszedł.

Posłaniec ze swej strony również przyspieszał kroku—w końcu puścił się biegiem.

— Pięć listów—mówił zdyszany — do pani dwa, do panienki trzy. A ten oto osobliwie, oddał mi posłaniec z Garbuszowa.

— Od Izy — korespondencya nasza minęła się. Zabieraj pan gazety, ja wezmę listy, i biegnijmy do mamy.

— Gazet jest spora paczka —zrobił uwagę Kazimierz.

— Bo dzisiaj przychodzą tygodniki, literatura, sztuki piękne.—Chodźmy. — Idąc, przeglądała koperty. Jest list od Stasia — to wielka uroczystość, pisuje bardzo rzadko. Mama się ucieszy.

— Dziwię się cierpliwości pani, że dotąd nie otworzyłaś ani jednego ze swoich listów.

— Umieram z niecierpliwości, lecz nie mogę, póki pana nie oddam mamie.

— Błagam panią o litość nad sobą.

Lecz i mama zobaczyła posłańca i pewno widziała telegraficzne jego znaki, dawane kapełuszem, bo, wsiadłszy do wózka zaprzęzonego kucami, jechała szybko drogą.

— Dwa listy dla mamy.

— Tylko dwa?

— Pan Kazimierz nas powiezie, a my tymczasem przeczytamy najpilniejsze.

Młodzieniec skoczył na kozioł wózka, ujął w rękę lejce — zawołał — koniki skoczyły, rade, że do domu wracają.

Na ganku dostał w udziale do odczytania dzienniki. Zosia pochłaniała list od Izy, rumieniąc się często i uśmiechając nieznacznie.

— Panna Iza wesoło i ciekawie pisze — przerwał czytanie Zosi, zaintrygowany uśmiechami młodzieniec.

— Jeden długi ustęp jest poświęcony panu.

— Jeżeli nie jest tajemnicą, racz go pani odczytać.

— O pozwolenie musiałabym prosić Izę. Ale za to powiem, jeżeli pan jesteś ciekawy, jaki o panu sąd moja przyjaciółka wydała.

— Ciekawym...

— Pisze, że lubisz pozować na wielkiego realistę, udajesz cynika, lecz przy każdej sposobności zdradzasz się szlachetnością.

— Czemże może realizm nie zgadzać się ze szlachetnością?—odparł żywo Kazimierz.

— Na to pytanie odpowie Iza, bo i ja jestem realistką w życiu, a wierzę, iż nie jestem pozbawioną szlachetnych instynktów.

Powiedziawszy to, wyszła; młody człowiek, zostawszy sam, głęboko się zamyslił. Za ledwo go zbudził głos mamy, wzywający na obiad.

Zosia spóźniła się nieco, przychodząc do stołu przebraną. Miała sukienkę kaszmirową ciemno-zieloną, ubraną tegoż koloru wzorzyste odciskany aksamitem. Biała kryza zdobiła również białą jej szyję. Z poza skrzyconych warkoczy wychylała się róża, świeża, przed chwilą zerwana. Kazimierz z sympatyą, a nawet pewnym pociąganiem, spoglądał na zgrabną postać rozumnego dziewczęcia, które swe przymioty i ofiary umiało tak zręcznie ukrywać pod maską pozytywizmu, a często nawet egoizmu. Spojrzenia ich skrzyżowały się, Kazimierz spuścił oczy. I dobrze się stało, bo tym sposobem nie widział blado-różowych rumieńców, które, zacząwszy od białej szyi, przesuwały się po twarzy dziewczęcia, jak obłoczki oświecone zachodzącym słońcem. Cisza panowała dość długą chwilę. Mama myślała o gospodarstwie i nieukończonych siewach, a o czem młodzież myślała?... Przepuszczam, że nie o pozytywizmie.

— Jesteśmy zadumani, nie jak na ludzi praktycznych przystało — przerwała ciszę Zosia.

— Ach moje dziecko, zapomniałam o starej Purchlinie i Stasi Kłębczance. Młoda dziew-

czyna — mówiła mama, zwracając się do Kazimierza — zachorowała jakoś dziwnie. Dreszcze, lekka gorączka, ból głowy i znowu dreszcze. Sprowadziłam doktora; napisał receptę, lecz sam nie umie zdać sobie sprawy z objawów choroby — mówi o rozdrażnieniu nerwów. Dopiero dowiaduję się od ludzi, że to są skutki zawiedzionej miłości. Wszędzie uczucie odgrywa swą rolę i upomina się o swe prawa.

— Dodać do posagu jedną krowę — mówił z uśmiechem Kazimierz — a konkurent się znajdzie i wyprze z serca kochanka. Nareszcie sama krowa gotowa odrazu ranę serca zagoić.

— Niezawodnie — odparła Zosia — gdyż krowa u ludu znaczy tyle, co u nas naprzykład wioska. U wielu z nas również jakąś wioskę daną w prezencie możnaby ułagodzić rozstrojone nerwy.

— Kłębczankę znam i nie sądzę, aby darowizna krowy mogła wyrugować z jej serca Wieczorka — zaprotestowała mama.

— Gotów jestem złożyć się — zawołał młody człowiek.

— A więc zakład — pochwyciła Zosia. — Pewnie się znajdzie we wsi krowa na sprzedaż — zwróciła się do służącego.

— Jurek, proszę paniENKI, chce sprzedać swoją — odpowiedział nieśmiało służący — a ma ładną.

— Mama zgodzi krowę u Jurka, pójdziemy z nią do Kasi i jeżeli radość jej będzie tak wielką, że zagłuszy miłość do Wieczorka, wtedy mama zapłaci za krowę; w przeciwnym zaś razie pan.

— Zgadzam się — rzekła mama — gdyż w każdym razie biedna dziewczyna zostanie właścicielką krowy.

— Po obiedzie idziemy odwiedzić Parchlinę, zaniosę jej ziółek — a potem z krową do Kasi.

Projekt został przyjęty.

Po powrocie od słabej staruszki a piastunki Zosi, na gazonie pasła się ładna, młoda krowa, trzymana na powrózku przez chłopca, przypatrującego się z ciekawością Kazimierzowi. Matka wyszła ze dworu i razem we troje bliźniem poszli do zrozpaczonej Kasi. Za nimi szedł chłopiec, obok niego krowa. Rozmawiali widocznie ze sobą. Chłopiec coś gwarzył, a krowa głową wstrząsała, przystawała, rycząc chwilami zcicha, żałośnie.

— Wejdźmy na dziedziniec od strony sto-

doły, aby niespodzianie zejść zakochaną — zaproponowała Zosia.

W otwartem oknie chaty siedziała blada dziewczyna, szyjąc nową perkalową koszulę. Na widok dziedziczki, jej córki i młodego pana — wybiegła zawstydzona — całując w ręce dziedziczki.

— Moja Kasiu, na strapienie twoje przynosimy ci leki — przemówiła starsza pani.

— Ej mnie już tam żadne leki nie pomogą — szepnęła.

W tej chwili ukazał się chłopiec z krową, która rozglądała się dookoła ciekawie.

— Patrz, jaka ładna krowka — i dlatego, że jesteś dobrą i pracowitą, mama ci ją daruje — mówiła Zosia, głaszcząc dziewczynę.

Ognie buchnęły na twarz Kasi i znikły, uwydatniając większą jeszcze jej błądź. Wodziła wzrokiem w milczeniu, to na krowę, to na swe panie, nie mogąc wymówić słowa.

— Kasiu, nie wierzysz nam? — odezwała się łagodnie mama.

Łzy strumieniem polały się po twarzy dziewczyny.

Scenie tej przypatrywał się z wytężoną uwagą Kazimierz.

Zosia również milczała, nie chcąc wpływać na rozwiązanie.

— A cóż ja z nią zrobię, a czemże ją uchowam? — zawodziła rozpaczliwie.

— Sprzedasz — odpowiedziała jej Zosia.

Sprzedawać takie piękne bydłatko! — Zwróciła do się dziedziczki i, całując ją po rękach, prosiła: — Weź se kochana, złocista pani, weź, we dworze będzie jej lepiej. Nademną sierotą, Bóg się ino zlituje.

— Myślałam, że cię ucieszę.

— Mnie już teraz nie nie ucieszysz.

— Boś sobie za bardzo wzięła do serca Wieczorka. A mało to tęgich chłopaków we wsi? Nie ten, to inny — tłómaczyła jej dziedziczka.

Zarumięniła się dziewczyna, spuszczaając oczy powtórnie zaszła łzami.

— I cóż mi po nich? — szepnęła.

— Takieś się w niego wлюбиła?

Kasia nie nie odpowiedziała.

— Wieczorek z flisu wróci, zastanie krowę i będzie jej rad.

— Nie, nie wróci — odparła. — A jeżeli wróci, to nie sam. Ksiądz go wywoływał z ambony. Pono żeni się z bogaczką — lzy i wzruszenie tamowały jej mowę. — Weźcie, o weźcie, złocista pani, tę krowinę, co mi po radości?

Kazimierz uczył dzieci historii, pomagał matce w gospodarstwie i polował, lecz nie długo. Tęsknił za towarzystwem swej przyszłej bratowej, przywiązał się do jej matki, rozkoszował ciszą — i tym nastrojem ducha, co dobre myśli nasuwa. Widocznie szlachetniał i widnokrąg jego myśli rozszerzał się, obejmując niemi kraj cały.

O szarej godzinie Zosia zwykle śpiewała; Kazimierz wsunięty w kącik salonu, słuchał i uczył się marzyć. Gdy przyniesiono światło, zaczynała się lektura. Kazimierz dobrze, bez afektacyi czytał. Głos jego dźwięczny nadawał się do poezyi, a dobry słuch stał na straży do utrzymania w karmach rytmu. Trzeci tom El-y'ego był odczytywany z zapalem. Zosia kochała się w tych strofach płynących miarowo, spokojnych i głębokich, jak myśl zagładająca w tajniki duszy i przeznaczenia, lub człowieka, patrzący na przeobrażenie się ludzkości, z uśmiechem pobłażania i miłości. Nieraz, wracając Kazimierz do swego pokoju, powtarzał zcicha:

Szukajcie prawdy jasnego promienia.

Szukajcie nowych nie odkrytych dróg.

Tydzień czasu zapadł w wieczność, podobny do cichej sielanki, widzianej na scenie, lub jednej myśli szczęśliwej.

Przyszedł list z Warszawy, Zosia osobiście wręczyła go Kazimierzowi. Gdy rękę po niego wyciągnął, zbladł, za chwilę zarumienił się, nie śmiał go roztworzyć, lecz korzystając z pierwszej sposobności, pobiegł do swego pokoju. I tam dopiero, uwolniony od świadków, rozdarł gorączkowo kopertę i czytał:

Kochany Kaziu!

„Złapałem cię—mam cię, ptaszku. Widzisz, co znaczą wasze przekonania, zbudowane na egoizmie, który szumnie nazywacie pozytywizmem, filozoficzną zasadą, teorią i Bóg wie nie czem jeszcze!

„To dlatego, że poznałeś dwie kobiety, które ci górnolotnymi frazesami głowę zawróciły, uśmiechały się do ciebie i mówiły o honorze, chciałbyś zagrozić los rodzonemu bratu? Ale ja na to nie pozwolę!

„Nie jestem pozytywnym egoistą i dlatego występuję w imię miłości, poświęcenia, ofiary i stoję przy swoim, jak mur. Ot, co ci powiem: — dla ciebie nie egzystuje ojczyzna, tradycja; ze szlactwa, jako z zasady, naśmiewasz się, u mnie inaczej, i dlatego stoję przy swoim, jak mur.

„Przyjechawszy do Warszawy, wprowadziłem nazajutrz zrozpaczonego Władka do Lubo-

radzkich. Wszystko było naprzód ułożone. Zastajemy dwie Zawiercińskie z matką. Panny, mówię ci, jak łanie—dorodne, ładne i ułożone—no, i nie źle urodzone, a nie głupie. Starsza nawet dowcipna, a wiesz przecie, że ja się znam na tem. Lecz, co najważniejsza, to, że *gotiu* na stół każda z nich ma po osmdziesiąt tysięcy rubli. Złożone są w banku. Ośmieliłem Władka, wprowadzałem w rozmowę, dowcipkowałem, słowem, spracowałem się jak parobek przy młócce. Władek z początku melancholizował, lecz przy kolacyi tak się rozgadał i rozbawił, że już potem nie odstępował panny na krok.

„Pomału, pomału, kierując całą intrygą zręcznie, z taktem i sprytem, doprowadziłem do tego, że już dziś bukiet od Bardetów—prześliczny bukiet, poszedł do Emci. Przyjęła go i kazała podziękować.

„Oto tak się prowadzą sprawy rodziny, jeżeli się ją kocha, a przez nią kocha się kraj i tę dominującą część narodu, którą słusznie szlachtą (bo szlachetna) nazywamy.

„Zamiast Zosi będziesz miał bratową Emcią z osmdziesięcioma tysiącami rubli. Marynia zapłacona, Jerozolima odesłana do Berdyczowa. Będzie szyk, zamożność, godne reprezentowanie

imienia, a przytem większa sposobność zrobienia czegoś dla kraju. Wszystko tak, jak chciałeś.

„O ciebie, mój Kaziu, nie boję się — masz ty głowę na karku i potrafiś się wykręcić. Powiem ci jedną rzecz pod sekretem:—Władek mi napomknął, że go te panie w Krynicy ogromnie zapraszały i ciągnęły do siebie. — Za intrygi — intryga. Oto, co ci powiem:—Władek jest u Emci, prosił mnie, abym odpisał i uściskał cię serdecznie, co też czynię z przyjemnością.

„Wydobrywaj się z tej nudnej i biednej Galilei i wracaj do nas“.

Twój kochający cię wuj.

Michał.

„PS. Wczoraj robiliśmy pulkę preferka. Wyobraź sobie, w kotle było dwieście pięćdziesiąt rubli, a siedm brało kocioł; jestem na ręku — mam: asa, króla, dwie małe i gram siedm trefl! Cisza się zrobiła, serce chciało mi wyskoczyć, tak się biło o żebra, z łysiny czułem, że para bucha. — Nie idę — odpowiada mój partner. — To ja sam pójdę — decyduje drugi. Gramy i robię siedm lew! — Wyobraź sobie moją radość i gruby śmiech, a osłupienie towarzysów. Nie dziw-że się, że jestem w dobrym humorze i długi list piszę.

Kaziuto mój, bądź zdrow — przyjeżdżaj, spiesz a poznasz Emcię. Władek dziś pewnie oświadczy się.“

Kazimierz stał chwilę jak skamieniały, narzeczcie list zgniótl i miał go w ręku nerwowo.

— I cóż powiem — szepnął — że mam brata blazna, bez charakteru, serca, uczucia?

— Stało się jak sam chciałeś — powtórzył zwolna i dobitnie.

Stanął w oknie.

— Sam tego chciałem, lecz dziś... dziś... Czuję jak mnie wujcio wypoliczkował swą miłością i ofiarą. Co teraz robić, jak wyjść z tego położenia wobec tych zwyczajnie uczciwych kobiet....

— Panie Kazimierzu — usłyszał srebrny głos Zosi: — Mama na „Wielkiem polu“, chodźmy cieszyć się słońcem i ciepłem. Odebrane wiadomości są pomyslnie?

— Kazimierz pochwycił kapelusz i wybiegł. Uściskał serdecznie rękę Zosi, i zasępiony, blade — widać było, że jest zirytowany i przygnębiony — mileżał, idąc obok niej.

— Nic pan nie mówisz? Czy może nie szczęście pana spotkało — pochwyciła Zosia. — Sądzę, że pan wierzysz w naszą przyjaźń. Współczucie przynosi ulgę, a na szczerłość ze strony

pana zasłużyliśmy.—Czuć było w głosie dziewczęcia wzruszenie; drżał pieszczotliwie i dźwięczał serdecznie.

— Spotkało nas wspólne nieszczęście — odparł cicho, pochylając głowę.

Zosia przystanęła.

— Mów pan.

— Mój brat... zamilkł, ze wzruszenia i wstydu. — Zosia pobladła.

— Nie przyjedzie — szepnęła.

Kazimierz pochylił głowę na znak potwierdzenia.

— Zrywa?

Kazimierz milczał.

— Przeczuwałam to — rzekła — poważnie, idąc naprzód.—Nadto prędko zajął się i nadto prędko oświadczył.

— W każdym razie postąpił sobie nędznie — szepnął.

— Przeciwnie bardzo racjonalnie, jeżeliby miał tego w przyszłości żałować.

— Wstydzę się.

— Pojmuję pańskie oburzenie — widzę, że jesteś szlachetnym! Na podobny krok nigdybyś się pan nie zdobył.

Twarz Kazimierza pokryła się szkarłatem.

— Lecz, znowu — mówiła dalej Zosia — żadne się nie stało nieszczęście. Mamie mojej od śmierci ojca ciągle się zdaje, że niedługo żyć będzie, że nas zostawi sierotami, że Staś nie da sobie rady, a Wandzia dziecko — i dlatego modli się gorąco, aby mnie wydać za męża, za gospodarza, któryby przyszedł nam w pomoc radą, energią i uratował majątek. Pan Władysław się znalazł, jak gdyby przez los, fortunę lub Boga wybrany. Nie kochałam go, lecz odmową nie mogłam mamie zrobić tak wielkiej boleści. Była pewną, że jej gorące modlitwy wysłuchane zostały. Co do mnie, prawie nie wierzyłam, aby małżeństwo nasze przyszło do skutku.

— Dlaczego? — spytał nieśmiało Kazimierz.

— Nie wierzę w ekstazy i głośny zapal. Dla mnie prawdziwe uczucie wyłania się z serdecznej przyjaźni... — urwała i, jakby zawstydzona chciała uciec od wypowiedzianych wyrazów, przyspieszyła kroku.

Serce Kazimierza zadrżało radośnie; zdawało mu się, że jakiś duch dobry i serdeczny napędza mu myśli szlachetne, popycha go do szczęścia, które przeczuwa, a jednak dojrzeć go dotąd nie mógł i nie umiał.

— Panno Zofio — zawołał — dobiegając.

— Lecz co powiemy mamie? — zagadnęła

Zosia. Mama jest nerwowa, wierzy ludziom, spodziewa się co chwila p. Władysława. Boję się, aby tak ciężki zawód nie był dla niej ciosem.

— Mam sposób — odparł wzruszony — biorąc Zosię za rękę.

— Masz pan sposób? — szepnęła.

— Musisz się jednak naprzód pani na niego zgodzić.

— Ja? — spytała cicho Zosia, blednąc ze wzruszenia.

— Pani — odparł, przyciskając rękę jej do ust. — Od woli pani zależy zdrowie mamy, a moje szczęście — dodał ciszej.

— Zdrowie mamy — powtórzyła jak echo, nie wiedząc co mówić.

— I zamiast Władysława, przedstawić mamie Kazimierza, jako narzeczonego.

Zosia, chciała wysunąć rękę z dłoni Kazimierza, lecz jej nie puścił.

— Jeżeli to pan robisz, aby wynagrodzić zawód ze strony brata...

— Nie zdając sobie sprawy, nie pytając się serca, jestem dziś pewny, że cię pokochał na drugi dzień pobytu mego w Zalesiu. Bałem się, czy znajdę sympatyę, nie chciałem zdradzić brata.

— Przysięgasz pan, że mówisz prawdę?

— Przysięgam, że cię Kocham — zawołał — tuląc jej ręce do ust.

— Powiem panu prawdę. I mnie się zdało, że pan masz dla mnie sympatyę... i...

— Dokończ!

— I nieraz myślałam sobie, że może byłoby dobrze, gdybyś pan przyjął na siebie rolę Władysława.

Pobiegli do matki. — Rozrzewniona kobieta, ze łzami w oczach, przyznała się, że przeczuwała podobne rozwiązanie i ze drżeniem serca oczekiwała tej chwili.

— Cóż powie pański pozytywizm wobec braku z mej strony posagu? — spytała Zosia.

— Powie, że zrobiłem świetny interes, gdyż znalazłem skarb, którego-bym nie wynagrodził milionowym posagiem.

— Teraz nareszcie wolno panu mówić mi komplementa.

— Moje dziecko — zawyrokowała mama — co znaczą wszystkie pozytywizmy wobec serca, uczciwości i charakteru?

Wieczorem przyjechała Iza, wezwana przez umyślnego posłańca.

— A nie ostrzegałam pana? — mówiła z serdecznym uśmiechem, witając się.

— Ja zaś prosiłem, abyś pani była o mnie spokojną.

— Przeczuwałeś pan, bo o szczęście pańskie, a również o przyszłość Zosi, jestem zupełnie spokojną.

Dołęga, d. 14 Października 1882 r.

NICE.

Obrazek z życia angielskiego.

Króciutki wyraz angielski, który pisze się *nice*, a *najs* wymawia, oznacza coś wdzięcznego, delikatnie miłego, a po polsku najlepiej tłumaczy się przez *ładne*, bo ładność jest to samo, co harmonijność, więc urok powstający z wdzięcznej zgodności tonów, barw i linii. Wyraz ten przecież znaczy bardzo nie wiele, gdy go się wymawia zimno, obojętnie, ale gdy patrzemy w niebieskie, zamysłone oczy, w bladawą, artystycznie wyrzeźbioną buzię, a pochyliwszy się nieco, spostrzeżemy malutkie uszko, oddalone od naszych ust zaledwie na dwa łokcie, i sami nie wiedząc dla czego i po co wymawiamy do siebie — tylko do siebie, bo przecież z sobą wolno rozmawiać — cichutkie: *nice!*... wtedy inne wcale przybiera on znaczenie. Ogień płonący na kominku jest zwyczajnym ogniem, lecz płomień

zapalonego lontu, który mamy przytknąć do miny prochowej... Co za nieszczęśliwe porównanie!...

Piękne dziecko ze spuszczonej w dół oczyma, zaczytane było najpierw w katalogu wystawy, a teraz spokojne i ciche patrzy w milczeniu na obraz i usteczka na wpół otwiera, nie żeby się miało dziwić, lecz z zapatrzenia tylko białe ząbki zostają odkryte, gdyż w tej chwili stoi przed malowaną gromadą uczonych i osłów w czworoboku pod piramidami.

Uczeni i osły głęboko zamysłeni, obojętni na losy bitwy, toczą między sobą niemą walkę o pierwszeństwo w powadze. Nie ulega wątpliwości, że osły zwyciężą, dlatego białe ząbki pokazują się raz jeszcze, gdy w tem owe nice... poszepnięte jak westchnienie, dostaje się przez uszko do serca i ztamtąd powraca w postaci różowego płomyka, przesuwając się po szyjce, ładnej buzi, powoli gasnąc na skroniach.

Cicho wymówione słówko mogło się stosować do osłów i uczonych, bo ładnie mogły wyglądać osły i uczeni na nich, ale mogło odnosić się również i do czegoś wcale innego; być zwróconem do niebieskich oczów, białych ząbków i zgrabnej figurki. Niebieskie oczy nie rażyły nawet spojrzeć w stronę, z której zacza-

rowane słówko przybywało, i gdyby nie różowy obłoczek, ciągnący się po szyjce i buzi, bylibysmy pewni, że miało na celu tylko uczonych.

Czarna kaszmirowa suknia i na granatowym tle stalowy pancerz perełek, cicho przesuwały się do następnej sali, a niebieskie oczy z pewnym rodzajem przestrachu patrzyły na czarnego Otella i przestraszoną Desdemonę w białej koszulce. Czerwony kolor, bijący z fald szerokiej kotary, przepowiada morderstwo, gdy biały ton pościeli i koszulka Desdemony broni niewinności. Purpura zbrodni i białość niewinności walczą z sobą na ciemnym tle nocy.

— Okropność!—szepnęły małe usteczka.

— Nice... zaszemrało powtórnie koło uszka. Nice!... wobec takiej zgrozy, gdy czarny wyjmuję nóż, aby mordować najtkliwszą miłość, najczystsze przywiązanie i wierność niepokalaną! Dzieweczka zadrżała, oburzyła się nawet i zbierając odwagę, powolutku, spokojnie obróciła główkę, kierując wzrok dużych niebieskich oczu w stronę usłyszanego szeptu.

W tej stronie stał młody człowiek, zmęczonego, zamysłonego wyrazu twarzy, ironicznie, nie... nie... tylko smętnie uśmiechnięty, jak młoda miss zapewniała potem mamę. Wzrok jego, byłby z pewnością zuchwałym, gdyby nie był

naiwnym.—Tak, jak mamę kocham, był naiwny a raczej serdeczny... Miał on w sobie otwartą śmiałość, lecz w tej śmiałości taką prostotę i łagodność, że nie można było znaleźć w nim nic, coby obrażało. A jednak ta twarz była jak gdyby urobiona do zimnej obojętności, wyglądały z niej już zmęczenie i sytość życia, gdy w oczach palił się jeszcze ogień wyzwania do nieustającej walki.

Dziecko patrzyło z podziwieniem i dumą.

Przecież ani zadziwienie, ani duma dziecka nie wywarły piorunującego wrażenia na obcym, bo znać, że to był człowiek obcy, z daleka. Łagodny, braterski uśmiech poruszył mu usta i znowu krótkie słóweczko: nice... zostało powiedziane tak naturalnie i spokojnie, jak gdyby oczy zwrócone były na obraz lub rzeźbę.

— Myślićby można, że na Desdemonę patrzy powiedziało sobie dziewczę. — I jeszcze patrzy... czuję to... Odpocznę trochę... przeszkadza mi, ale pewno odejdzie. Ciekawam, czy prędko? Ach, takie natręctwo... nie lubię natrętnych. Nie lubię zuchwałych. Czyż ja wiem, co lubię? On jakiś smutny i dobry.

Miss usiadła rozmarzona na kanapce ustawionej w środku sali. Nie śmiejąc wzroku podnieść, główkę pochyliła w dół, ale czyż młoda

dzieweczka może mieć długo spuszczone oczy, gdy jest rozciekawioną i niespokojną? Podnosi je i wzrok jej znów się spotyka ze spokojnie a smętnie uśmiechniętym natrętem.

— Nie poszedł sobie... Byłam pewna, że odejdzie... Czy patrzy na mnie? Czy doprawdy patrzy?

Na przekonanie się miss posyła nieznacznie drugie spojrzenie. — Nie jest tyle nieznosnym, ile śmiałym — myśli. — A może też nie na mnie patrzy... ale na mnie... Cierpliwości! znuździ się i odejdzie. Bo jakżeż nie miałby się znużyć, przecież nie jestem zachwycająca. Ale mówią, że i brzydką nie jestem, chociaż nie posiadam nadzwyczajnej piękności. Cóż więc takiego odkrył we mnie?...

Następuje długie zamyślenie, gwałtowny rumieniec a przy nim bielsza jeszcze bledność buzi, gorętsze błyski w oczach. Miss wstaje żywo, wyprostowana i dumna, śmiałym krokiem idzie naprzód. Tuż przy progu drzwi słyszy znowu cichutkie: — Nicel...

Spogląda groźnie, stanowczo i przekonywa się, że obok śmiałości nieznajomy ma zawsze w sobie wielką łagodność i prostotę.

— Nie mógł się przecież domyśleć, co mi przez głowę przeszło i nie dlatego mówił — tłu-

maczy się miss sama przed sobą i chce się przekonać. — Ale gdzie jest mama?

Mama stała właśnie przed obrazem zatytułowanym: „The Babylonian marriage market.“

— Mamo, proszę cię, chodź...

— Czy chcesz już wracać do domu? Ale patrz, dawniej kupowano sobie żony na rynku, a były między niemi bardzo ładne.

— A dziś, mamo, my często kupujemy sobie mężów, i to jest cywilizacją i równouprawieniem...

— Panie, biorę cię sobie za męża i płacę ci za to gotówką... Ile mama dopłaci do mnie mojemu mężowi?

— Przecież wiesz dobrze... dwadzieścia dwa tysiące funtów odrazu.

— Dodawszy do tego taki skarb, jak ja, wartość dochodzi miliona. Ale chodź, mamo...

— Gdzie? Do drugiej sali?...

— Tak...

— Po co mnie tam prowadzisz?

— Zobaczysz, zobaczysz mamo, tylko się nie opieraj...

— Moja matka! — szepnęła dziewczynka zarumieniona, stojąc przed nieznanym.

Poważny wzrok matki zmierzyl zimno przez okulary postać obcego, który zaskoczony tak

nagłym a niespodziewanym manewrem, stracił na chwilę przytomność, zawahał się, zarumienił nawet i jedna chwilka, a był już zgubionym. Wahać się, gdy córka przedstawia ci matkę... wahać się, to znaczy przyznać się do żarciku, a Angielka nie przebacza nigdy ubliżających żartów.

— Jako cudzoziemiec — rzekł — wdzięczny jestem paniom za łaskę poznamienia się.

Na wyraz cudzoziemiec... matka spojrziała na córkę pytająco, ale córka nie mogła nic odpowiedzieć.

— I Francuz pewnie — dodała mama w okularach.

— Nie pani, nie jestem Francuzem...

Młoda miss odetchnęła, matka wahała się między chłodem a uprzejmością, ale obcy dżentleman, odzyskawszy zimną krew, zapanował prędko nad niechęcią matki i nieśmiałością córki — poszli razem oglądać galeryę.

— Nasze obrazy nie czynią na panu wrażenia — mówiła wkrótce, już oswojona z przytomnością obcego — miss.

— Przeciwnie, więcej niż inne...

— Przynajmniej nie zdradzasz pan tego.

— Uczucie, które nie wybucha, bywa tem silniejsze:

— Zatem należysz pan do skrytych...

— Raczej do otwartych i zbyt szczerych.
Miss zarumieniła się. — Więc nasze malarstwo podoba się panu? — zapytała.

— Jak pierwsza stronica zajmującej książki, jak usiłowania młodości, jak nowa a szlachetna idea, zresztą jak początek miłości...

— Początek miłości bawi pana?

— Zachwyca i upaja.

— Za to dalszy ciąg z pewnością męczy pana i nudzi.

— Nie powiedziałem tego, ale zgodzisz się pani, że rodzące się uczucie — to nowe życie. Zwykle uczuwamy pewien strach, patrząc w przyszłość, a niewytłumaczoną radość mamy z teraźniejszości.

— Prawda — rzekła miss, zamysłając się.

— Ale — mówiliśmy o malarstwie naszym — dodała po chwili.

— Rozwijające się malarstwo w Anglii z tak szlachetnymi kierunkami, więcej rozciekawia i zajmuje, niż gdyby już stanęło u szczytu swego i kolejną rzecz zstępowało z wyżyn.

— Czyż wszystko na świecie wzniesione do szczytu upadać musi?

— Oprócz uczucia, dla którego niema wysokości, gdyż pragnie ono wciąż iść dalej i zawsze uczuwa się na poziomie.

— Moje dziecię, czy widziałaś *Ligny Crofta*? przerwała rozmowę wyprostowana mistress w okularach.

— Właśnie patrzę, mamó.

— Jestem niemal pewny, że artysta kształcił się w Niemczech — dodał obcy dżentleman.

— I nie omyliłeś się sir (ser), gdyż katalog podaje adres malarza w Düsseldorfie — potwierdziła z godnością mistress.

— Poczem to pan poznajesz?

— Poczem poznaję? W pani, na stałym lądzie, odgadłbym odrazu Angielkę.

— Dotąd byłam pewną, że się nie wyróżniam od innych.

— A mimo to posiadasz pani w sobie właściwy charakter swego narodu.

— Czy smutek jest znamieniem narodu pańskiego?

— Dlaczego pani?

— Bo pomimo uśmiechu, twarz twoja, sir, jest smutna.

— Historya narodu maluje się w rysach i charakterze ludzi.

— Zgadza się z panem i dlatego nie lubię Francuzów, bo...

— Bo co?

— Bo z ich oblicza wygląda zużycie i nieprawda, gdy pan jesteś tylko zmęczony.

— Szukający odpoczynku i spragniony, aby go znaleźć.

— Zatem sir w obrazie Crofta upatrujesz szkołę niemiecką? wtrąciła oddana malarstwu matka.

— Raczej szkołę polską, wyrabiającą się w Niemczech.

— *Ligny* jest jednym z ostatnich rozdziałów wielkiej epepej. Zwycięstwo jest otrzymane, lecz walka nieskończona, okrzyki żołnierzy na cześć obóstwanego Cezara, ulatując, toną w mgłę, przezroczystej, a jednak nieprzejrzanej jak przeznaczenie. Światło opromieniające bohatera zagaśnie za chwilę po za chmurami, nadciągającymi z północy. Z *Ligny* prosta droga pod Waterloo.

Dzierżąc niezłomną potęgę zbawienia,
Tym, którzy nieśli mu hołd uwielbienia
Dawał jedynie dar grobu...

Wygłosiła mistress pamiętny wiersz Byrona.

— Chociaż jestem Angielką a Waterloo to moja chwał a dumą — rzekło smutnie młode dziewczę — żał mi narodu.

— Żałuj pani bohaterów z pod Waterloo, a raczej miej litość nad Francuzami z pod Orle-

anu i Paryża, jeżeli nie chcesz mieć dla nich pogardy.

— Ostatnie dziesiątki lat politycznego życia twych sąsiadów, pani z drugiej strony kanału, potwierdzają moje opinie.

— Jakież dla nich ratunek?

Spojrzyj pani w koło siebie a znajdziesz odpowiedź. Praca, poświęcenie i wytrwałość niezłomna, dają rezultaty, z których sprawiedliwie możesz być dumną.

— *Cieężko zapracowany spoczynek.* — przeczytała w katalogu mistress, patrząc przez okulary na otuloną w szal, bladą, uśpioną na obrazie dziewczynę.

— Cicha boleść bez skargi, czy sprawia na panu wrażenie?

— Braterstwa, lecz rad jestem spotkać obok siebie uśmiech i wesołość. Wtedy żyję terazniejszością.

— Pan tak lubisz terazniejszość?

— Zanadto żyję przeszłością, nie zważając na dziś i dla tego marnuje życie.

— Ależ muszą być dnie...

— W których nie wspominamy o przeszłości, nie spoglądamy w przyszłość, a obecną, chwilę radzibyśmy przedłużyć w nieskończoność.

Miss zaczęła jak gdyby się niecierpliwić, szukając czegoś w katalogu; z roztargnienia upuściła rękawiczkę, młody dżentleman podniósł ją i trzymał w ręku.

Przy wyjściu już, w portyku, miss rzekła: Czeka nas powóz, ale lubię chodzić pieszo, i gdyby nie ten nieznośny deszcz, wołałabym...

Zagrzmiało i uderzył piorun, miss zadrżała.

— Uderzenie piorunu w chwili poznania, za jaką uważasz pan wróżbę?—zapytała.

— Za najlepszą, jeżeli piorun poprzedziła błyskawica, to znak sympatii.

— Nie widzieliśmy błyskawicy — szepnął głosik z lekkim westchnieniem.

— W takim razie nie mamy prawa wierzyć w sympatię.

— Nie mając prawa, można mieć nadzieję. Czy pan lubisz bywać w galerii?

— W towarzystwie...

— A przychodzisz sam...

— Zawsze...

Powóz zajechał.

— Sir, przyjmij podziękowanie za trudy towarzyszenia nam — rzekła dobrotliwie wyprostowana pani.

Młody dżentleman, zdejmując kapelusz, nie rzekł ani jednego słowa, za to zdawało się ja-

koby młoda dziewica ze spuszczonei oczyma, cała różowa, szepnęła: Good be... (bywaj zdrów).

— Mamo! przecież ja nie jestem sztywnie poważną?

— Przeciwnie... Zdaje mi się, że jesteś zbyt żywą...

— Ach! ja mogę być i bardzo smutną, gdy mnie serce boli... Nie wierzysz i uśmiechasz się.

Mamo, kto jest zmęczony miszczęciem, ten musi być szlachetnym.

— Przypuszczalnie...

— A gdy znajdzie schronienie, odpocznik i ciepłą dłoń, która, przyciskając jego czoło, zasłoni mu na chwilę wytężony wzrok tęsknoty, powinien być wtedy choć troszeczkę szczęśliwym. Odpowiedz mi, mamo!...

— Wytłumacz mi pierwej, z kąąd ci się wzięły podobne myśli?

— Przypominasz sobie mamco obraz Morgana, podpisany: *The departure?*

— Pamiętam... Łzy starego weterana i cichą boleść dziewczyny.

— I ten wiersz u spodu.

Mężę, tak się spracować muszą ciężko, kobiety

Tyle łez muszą ronić...

Tak mały wzięść zarobek, a przed zgubą niestety!
Tyle skarbów potrzeba im chronić...

— O mamo! kup mi smutnego męża. bo smutni, wiernie i głęboko kochają! — zawołała nagle miss.

— A jeżeli nie zechce się sprzedać?

Dzieweczka posmutniała.—O tak — mówiła w duszy—są ludzie, którym los zabrał wszystko prócz godności, i tej pewno nie oddadzą za nic... Ja nie umiem gwałtem wydzierać serc, a może umiem tylko oddać swoje? Sama nie wiem, co umiem...

— Mamo! ciężko mi jest i smutno...

Zmęczyłaś się wystawą.

— Jutro przecież przyjdziemy, aby się rozpatrzeć w szczegółach.

— Tak... zapoznać się dobrze z obrazami.

— I z rzeźbą mamo, z rzeźbą rysów oblicza, które nam mówią o duszy człowieka.

Londyn, d. 24 czerwca 1875 r.

